

Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

18122







JEDNODNIÓWKA.



18122

B. P. im. Ł.

Wydął W. Giełżyński. — Lublin 1912 r.

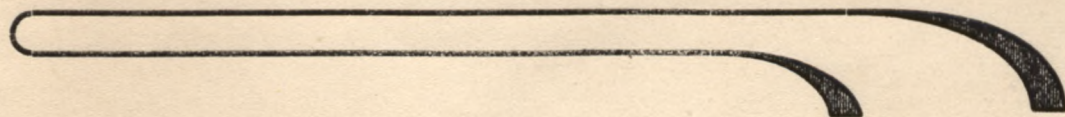
2

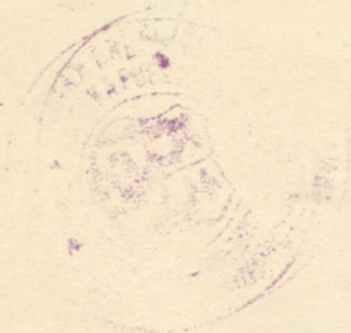
EDMUND GOVANCE

1891

18122

JEDNODNIÓWKA.







Dziś i Jutro... Refleksji garść.

Dziś! — jakże przeraźliwym dźwiękiem rozlega się to słowo w pustce i czczości życia naszego. Dziś — to życie, to stwierdzenie, że jesteśmy, my młodzi, pełni sił, zapału, że nasze ramiona prężą się w wielkim wysiłku wyciągnięte ku słońcu ognistemu, że nowe prawdy i wartości stwarzamy w ciągłym pochodzie ludzkości ku światłu, to stwierdzenie żeśmy żywi, nie tracący nadziei. Dziś — to hejnał radosny, to okrzyk tryumfu umęczonej duszy ludzkiej, zepchniętej przez wrogie siły w odmęt ciemności, upodlenia i zgnilizny.

Dziś — tym winno być! A czym jest w rzeczywistości?.. Przed dźwiękiem jego dusza ucieka w krainy mgliste marzenia i wizji sennych, bo ono niesie stwierdzenie, że życie jest pustką, zaprzeczeniem najskrytszych i najukochańszych ideałów duszy młodzieńczej, stwierdzeniem wyczerpania wszelkiej energii życiowej w nas, zatracenia wiary w promienną nadzieję jutra.

Oto się dziś zjawia przed nami jako równoznacznik wszelkiej nicości, upodlenia i skartławienia ducha ludzkiego, oto wysiłkiem bólu nadmiernego duch kona, a z piersi zdławionej rozbrzmiewa jeno rozpaczny krzyk tęsknoty, bijący w ciemność i pustkę przeraźliwą, jako stwierdzenie niemocy twórczej tej piersi, co go wydała. Oto u ramion zbarczonych zwisają rozpacznie skrzydła promienne, co miały nieść duszę młodą na loty podniebne w pogoń za światłem, ukrytym za gęstym zwałem chmur ołowianych.



Wokoło nas pustka, gorzej niżli cmentarna, bo w tej rozbrzmiewa echo czynów, dokonanych przez tych, co odeszli, bo stamtąd idzie krzepiąca wieść, iż nie ginie marnie żaden wysiłek ducha na drodze wiodącej do Prawdy, że z popiołów zmarłych wstają nowe istnienia bujne i silne, rwące ludzkość ustawicznie wzwyż, ku słońcu.

Dzisiejsza pustka jest gorsza: zanik myśli szlachetnych, pograżenie w brudnym materializmie, wykluczającym wszelkie porywy altruistyczne, wszelkie nowe myśli, zanik choćby najskromniejszych dążeń społecznych, włoczenie istoty ludzkiej w ciasne jedynie ramki ognisk domowych, ale nie tych, dających jednostkom podstawę do działania i walki w życiu, jeno tych, zatruwających atmosferę wyziewami cnót kołtuńskich, zabijających wszelkie silniejsze uczucia i namiętności, tchnących przeraźliwą szarżyną, nicością i szablonem.

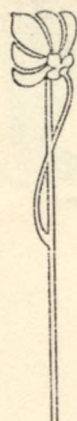
I to może jest najwyższy tragizm naszego Dziś, że jesteśmy tacy nijacy, bez wyraźnego oblicza duchowego, tacy wszyscy jednacy przeraźliwie w tej szarości. Kapliczki samouwielbienia, świątynie egoizmu, szkoły dobrego taktu i tresury — oto co budujemy na drogach życia naszego, tworząc Dziś, będące zaprzeczeniem tego wszystkiego, czym żyliśmy wczoraj.

Więc jako dzwon pogrzebowy rozlega się w duszy ów dźwięk „dziś”.

A Jutro?

Czyśmy nadzieję wszelką wyrzucili ze swego życia, czyż wprzagniemy w jarzmo robocze poziomych trosk i zabiegów przestaliśmy wierzyć, że jutro nowe wstanie po to, by przynieść o zwycięstwie światła nad Nocą wieść—czyż mamy wydrzeć z serc naszych jedyny błogosławiony owoc żywota—nadzieję, mamyż przekazać następnym pokoleniom jedynie przeczenie, jedynie rozpaczne żale i skargi nad sobą, nad naszą przyszłością, mamyż ich uczyć nienawidzieć nas za naszą szarżyznę i nikczemność?..

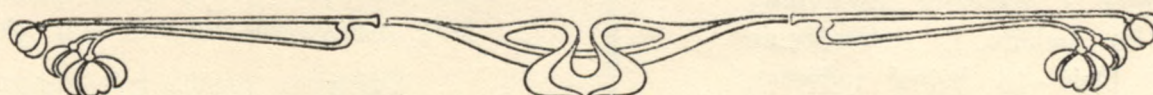
Postokroć nie! Jutro będzie, musi być inne, bo inaczej kłamstwem byłyby groby tych męczenników, co bojowaniem twardym, ustawicznym torowali nowe drogi ludzkości, ułudą byłyby wszelkie zdobycze tych męczenników ducha i myśli,



falszywym blaskiem to słońce, co wokół nas budzi z każdą wiosną nowe tysiączne silne istnienia! Z naszej szarżyzny, z naszej nicości wyrośnie bujny kwiat czynu następnych pokoleń, a im większa będzie ta szarżyzna, tym prędzej wszystko, co młode, co wierzy i kocha, odwróci się ze wstrętem silniejszym od szarżyzny naszego dziś, tym wyżej znienawidzi tę szarżyznę, tym gorętszym umiłowaniem zapłonie ku jasnemu Jutru, tym potężniejszym wysiłkiem rzuci jarzmo podłości, a w zwycięskim pochodzie ludzkości prędzej czy później dotrze do Słońca.

I to przyniesie—Jutro.

Kazimierz Swierczewski.



Przeszłością człowiek żyje, a śni o przyszłości. Żyje więc poważnie tym, czego nigdy nie przeżywał, jak również tym, czego przeżywać nie będzie.



Na podobieństwo budowniczych wielkich katedr gotyckich stawia nas Los przy warsztacie roboty, której nie znamy początku i nie zobaczymy końca.



Teraźniejszość to tylko te kilka cegiełek, które dorzucamy do wielkiego gmachu przeszłości — według planu przyszłości osnutego w naszym pojęciu.



Jak gdyby nie miał nigdy umierać żyje jednak człowiek, gdyż ma to poczucie, iż prawidłowo wysnutą nić prąść dalej będą prędzej czy później następcy.

M. B.





Powrót Odysa.

Jest rzeczą niewątpliwą, że choćby ze względu na gienjalną scenę ostatnią, Powrót Odysa zasługuje na głębszą analizę, niż tego doczekał się dotychczas. A chociaż każde objaśnienie dzieł poetyckich musi być z natury swej wadliwe, chociaż nikt nie może się ustrzec przed wtłaczaniem swoich pojęć w duszę artysty, i nikt nie może się chlubić, iż ją tak nawskroś poznał, aby mógł wszystko objaśnić naszą prozą zwykłą, to jednak próba podjęcia wytłomaczenia jakiegoś utworu nie jest bezowocną i przyczynia się niewątpliwie do głębszego zrozumienia poety.

Chcąc więc wytłomaczyć genezę Odysa, przypomnieć sobie musimy, iż postać ta zajmowała żywo wyobraźnię Wyspiańskiego i już w Achilleidzie otrzymała kontury wyraźne i ścisłe.

Ale nie są to kontury Homera. Z zadowolonego z siebie i uwielbianego bohatera, z zimnego i wyrachowanego spryciarza, z oschłego rezonera i zabójcy, nie pozostało nic, jak tylko gołe fakty, dokonywane pod wpływem przeznaczenia. Ale psychika jego jest wręcz odrębna przez tę tragiczną samowiedzę, którą go obdarzył Wyspiański — samowiedzę gwałtu i zbrodni i koniecznej za nie pokuty.

Przekształcenie to było dla Wyspiańskiego artystyczną koniecznością w Achilleidzie dlatego, iż serce jego przechylało się niedwuznacznie na stronę zwyciężonej Troji, którą, na mocy tak blizkiej analogji — identyfikował w swej duszy z rodzinnym krajem.

Stąd też nie można sobie wystawić, aby Wyspiański mógł na równi ze starożytnymi wyspiarzami starogreckimi podziwiać łajdacki spryt Odysa i jego oschłe poświęcanie tylu cennych żywotów ludzkich.

Dla niego był on tylko poziomym służalcem ziemi, pchanym przez ślepe fatum, narzędziem zniszczenia. Bohaterskość Odysa w Achilleidzie polega tylko na jednym znamienym rysie: gotowości podjęcia godnie strasznego swego losu, który przewiduje.

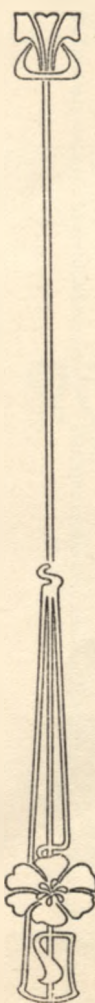
Oczywistym jest, iż tak zarysowana postać wymagała dalszego ciągu, wymagała dalszych dokumentów dla spełnienia swej obietnicy.

Próbkę taką posiadamy w fragmencie „Feakowie”, w której Odys występuje analogicznie do scen Achilleidy — porywczo, gwałtownie i jeszcze dobitniej podkreśla swą wiarę w tajemniczą wolę Bogów, której się ma za wykonawcę — chociażby go ta wola miała prowadzić do czynów złych i występnych.

Upłynęło lat cztery, i oto poeta powraca na nowo do tego samego tematu i w Powrocie Odysa uwypukla i na nowo przerabia tę postać.

Upłynęło na to okoliczności wiele.

Przedewszystkim w tym czterolecu odegrały się wypadki roku 1905 i 6-tego, które jak wiadomo wstrząsnęły mocno duszą poety.



Rozentuzjasmowany z początku, chcący pół a nawet całość swego majątku ofiarować na cele rewolucji, pisze pieśni i wiersze rewolucyjne, które później pali wszystkie—subsydja swe cofa, a na koniec w drugim wydaniu „Wyzwolenia“ przekreśla owo cudowne zakończenie, dające wyraz nadziei, iż: „wyrobnik lub dziewczka bosa“ otworzy drzwi Konrowi, na podjęcie losu i walki.

Oczywistym jest więc, że w tych latach rewolucyjnych, w latach powtórnego wydania „Wyzwolenia“, Konrad na nowo odżywa w jego sercu. Stąd też przy stwarzaniu nowej postaci Odysa powstaje na nowo, nie tylko dawna postać z Achilleis, ale nabiera ona stanowczo cech Konrowych—cech polskiego ducha narodu.

To połączenie pierwiastków greckich z polskimi, przeprowadzone już raz w „Nocy Listopadowej“, staje się jakby potrzebą duchową jedności artystycznej i uwidacznia się nie tylko tutaj, ale może jeszcze wyraźniej w Akropolidzie.

Stąd też analogja między „Powrotem Odysa“ a „Wyzwoleniem“ jest bezsprzeczna. Jak bowiem powrót Konrada, prowadzi, mimo zwycięskiej z gienjuszem walki, tylko do uświadomienia sobie tymbardziej żelaznych rygli żelaznej mocy niewoli—tak samo powrót Odysa kończy się po zwycięskiej z zalotnikami walce ucieczką bohatera do Łodzi Śmierci, jako ostatniej i jedynej wybawicielki z katuszy. W „Wyzwoleniu“ zaporą jest zaporą mechaniczna, ale o wiele cięższą zaporą jest ona w „Powrocie“, gdyż jest moralną—jest świadomością bankructwa gwałtu i chytrego wyrachowania.

W „Powrocie“ Odys, tak samo jak Konrad, jest niewolnikiem myśli jednej, a jest nią ojczyzna jego—Ithaka.

Ithaka—oto więc to wielkie, święte słowo Odysowe, nie opuszczające go nigdy słowo, na które zadrgnęła cała dusza Wyspiańskiego i wtóruje mu imieniem drugim nie wypowiedzianym w dramacie, a jednak brzmiącym tak doniośle, Konrowym wołaniem: Polska.

Ithaka—Polska—zlewają się więc w jedno wołanie i stają się synonimami w sercu poety i, gdy błędnym wzrokiem spojrzysz Odysa na pusty brzeg morza i zapytasz:

„Czyli to jest Ithaka? Pustkowie, brzeg pusty“...
to i nam przypomina się nasz spustoszały kraj rodzinny—
i gdy nieszczęsny ten tułacz w ciemną noc szuka wciąż
jednego i tego samego celu i woła:

„kędycz Ithaka“?

to my rozumiemy tragizm trwożliwego jego pytania —
i gdy powiada, że:

„W ojczyźnie własnej odnalazłem piekło“,

to my w roku 1907 odczuwamy to całą duszą w głębinach katakumbowego naszego istnienia.

Jesteśmy bowiem takimi samymi tułaczami, jak Odys i tak samo, jako on widzimy wszędy daremno ojczyznę kochaną.

Jesteśmy nie ludźmi żywymi, lecz cieniem ludzi, a jedynym naszym prawdziwym uczuciem jest uczucie tęsknoty Odysowe.

Odpowiednio do tego minorowego kamertonu Konrowego wołania narysowane są też inne postacie dramatu. Przedewszystkiem Penelopa, symbol tej, która w śmiertelnym śnie uśpiona leży. Nie chce jej budzić Odys, gdy czas jej nie nadszedł, jak nie nadszedł na ziarno, w Kory schowane komorach. Ale czego chce ona, to przedewszystkiem tego, aby się skończyły swary, gdyż mękę władzy otrzyma ten, któremu siła wyższa da moc rozumu i siły.

Nadzwyczajnie rozwinięta i pogłębiona jest postać Telemachu. Już sama wieść o przybyciu Odysa przeistacza młodzieńczą postać chłopca, wyśmiewanego i wydrwiwanego nawet przez własne sługi. Chociaż jasno rozumie, iż pierwszy czyn zabicia przez Odysa pastucha Eumeja jest obłędem, gdyż

w własny dom—krwi niesie wiano.

A jednak dzięki tej samej krwi popełnia on wkrótce ten sam czyn — względem swego sługi.

Przywiązany do domu, nie daje się on namówić chytrym Tafijczykowi, chcącym go wywieść za morze. Za żadne obietnice nie chce się on łączyć z obcymi.

Że śmierć mnie miłsza—niż przyjazne wrogi
Że od was—zbojce—nie żądam pomocy.

Stojąc na stanowisku samoobrony, namawia więc też ojca swego do porzucenia niegodnego czynu spalenia własnego domu, legowiska swych ojców, na ofiarę i to do spółki z Tafijczykami.

Syn przeciwstawia się ojcu i namawia go do wspólnego czynu przeciwko domowym najazdom. Czyn dokonany jest przez ojca przy biernym współudziale syna, któremu ojciec chciał zaoszczędzić kłatwy—stania się zbawcą domu—przez zamordowanie ojca.

Jest rzeczą oczywistą, iż byłoby dowolnością nieusprawiedliwioną poprzylepianie etykiet partyjnych do stosunku osobistości Odysa, Telemacha i Tafijczyków, gdyż Wyspiańskiego obowiązywał przedewszystkiem artystyczny układ dramatu, jednak niewątpliwie czuć tu rytm i echo naszych rewo-

lucyjnych stosunków, odczuwane z oddali przez czujne ucho poety.

Natomiast przy końcu utworu wydzwanają na lirze Syreny już własne poety filozoficzne poglądy. Jest to Wyspiańskiego śpiew łabędzi—ostatniego utworu—zakończenie.

I dziwna rzecz — odskakuje ono wybitnie od męskiego rytmu—epilogu „Wyzwolenia“, a szuka Wybawienia w Słowackiego wierze—wierze w nieśmiertelne wielokrotnie odnawiane życie.

Prąd Króla-Ducha unosi Wyspiańskiego na swych falach —i tam też znajduje poeta, zatrwożony niespokojnym i tęskliwym pytaniem:

Czyli to jest Ithaka? — — — — —
— Ukojenie.

M. Biernacki.

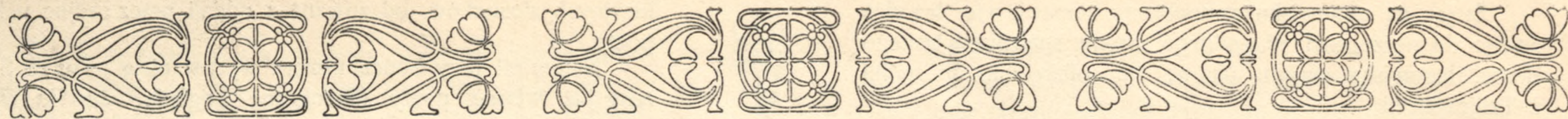
Obcowanie z ludźmi niższymi moralnie lub umysłowo jest szkodliwym nie dlatego, żebyśmy się już koniecznie do ich poziomu zniżać musieli, ale dlatego, że zbyt łatwym kosztem daje nam wysokie pojęcie o nas samych, o naszej własnej wartości.

Trudno jest uczyć ludzi... nie dlatego, żeby już wcale nie byli ciekawi dowiedzenia się czegoś, ale dlatego, że fałszywy wstyd często nie pozwala im przyznać się do niewiedomości. Popularyzator wiedzy, któryby jak turecki urzędnik każdą przemowę rozpoczynał słowami „ty wiesz, effendi“, miałby powodzenie.

Dziwimy się czytając, że Faraonowie starożytnego Egiptu, wzniesieni do rangi bogów, nieraz składali ofiary z ambry i myrrhy u stóp własnych posągów... a jednak niema śmiertelnika, któryby choć raz w życiu nie złożył w dani wonnych kadzideł u stóp—siebie samego.

Ambicja i duma, dwa tak na pozór pokrewne sobie pojęcia... a jednak nic tak nie przeszkadza ambicji w osiągnięciu jej celów jak — duma.

F. ARNSZTAJNOWA.



Grabiec i Goplana.

Cicho szemrzą fale Gopła, cicho szumią nad brzegiem wierzby płaczące.

Daleko, gdzieś daleko, wartkim nurtem przelewa się potok życia: pędzą skrzydlaci Kirkorzy w złocistych zbroicach, błyskawicami swych mieczów strącają koronę Lecha z głowy tyrana, pędzą, walczą, żyją...

Cichym snem śpi Goplana. Może marzy się jej, bladej bogince, kochanek z różami na licach, kochanek nie strojny w szkarłaty i złote zbroje, ale piękny w swej prostocie.

Zbudził ją powiew wiosny: rzuciła ciche łoże na dnie jeziora, wyszła na powierzchnię... życia.

Miłości spragniona, pełna marzeń i snów tęczowych, ukochała rumianego parobczaka Grabca.

Oczy przyzwyczajone do błędzenia po promieniach księżycowych, do kochania się w mgłach i oparach, przez mgłę tylko widziały pijacznę—parobka.

A choć zapach gorzałki chyba zalatywał z rubasznej gęby kochanka, dla niej słowa jego były pełne woni cudownej.

I wymarzyła idyllę; słowianką była z rodu, a wiadomo:
„Słowianie, my lubim sielanki”.

Tam, gdzieś daleko, toczą się walki o koronę Lecha, krew się leje i pełnią się zbrodnie;—tu, nad jeziorem, cicho szumią wierzby płaczące.

„Byle polska wieś spokojna!”

Nie, nie tak! obca nuta wplątała się w bajkę...

Byle Grabiec, jak wierzba, głęboko wrósł w ziemię, byle zawsze pozostał jednaki, niezmienny, kołysany wietrzykiem, by szeptał pacierze, zawsze cichy...

Księżyc będzie przyświecać, słowik będzie kwilić, Goplana marzyć będzie i kochać się w wierzbie.

Lecz Grabiec—to „mięsny człowiek”. Pryszał czar!.. Goplana musi wrócić życie temu, którego skazać chciała na wieczną wegetację.

Boginka nie jest jednak dziewczką z krwi i ciała: ona musi widzieć kochanka przez mgłę poetycznych marzeń. Grabiec zostaje królem.

Wprawdzie, jego królewskie szaty, utkane z mgieł, tęcz, blasków zorzy, promieni świtu, są może zbyt powiewne dla „mięsnego człowieka”, lecz zato na głowie ma prawdziwą koronę Lecha, a —

— „w niej szczęście ludu, w niej krainy siła”.

Tak ustrojony Grabiec poszedł tam, gdzie wartkim nurtem przelewało się życie..

* * *

Dość bajki!.. Zbyt skłonni jesteśmy patrzeć w życie poprzez różowe mgły i tęcze baśni.

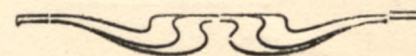
Goplana—to my, inteligencja polska. Grabiec — lud, którego znamy dwa oblicza: jedno rubaszne, które nas razi, i od którego odwracamy oczy; drugie, w którym widzimy wszystko, co widzieć chcemy; więc Piastów przedhistorycznych powagę, więc ciche i pocziwe ukochanie zagonu ojczystego, więc moc prometejską.

Grabiec jest szczegółem w dekoracji swojskiego krajobrazu, jak owa wierzba płacząca, lub mocarzem, który ma rozwiązać „żelazną dłoń” wszystko, czego my rozwiązać nie umiemy, czy nie chcemy.

A jednak, gdy wśród marzeń i złudzeń, zapominamy o życiu, nie mamy odwagi spojrzeć w nie szczerze, narażamy się na to, że obudzony mocarz, któremu jasności wzroku nie mąci błona poezji, ciśnie nam w twarz, jak niegdyś Grabiec Goplanie, pogardliwie:

„Galareta”.

M.





Henryk Heine.

Rycerz Olaf.

I.

U bram kościoła dwaj męże,
Obaj w czerwoności szat,
Stoją wsparci na orężu,
Jeden *król* a drugi *kat*.

I tak rzecze król do kata:
Widno że skończony ślub,
Bo śpiew już nas nie dolata,
Topór bierz i swoje rób.

Grzmienie dzwonów, dźwięk organów,
Tłumy cisną się do wrót,
W otoczeniu strojnych panów
Idzie onych Dwoje wprzód.

Lecz królowna smutno patrzy,
Idzie blada jak ta kość,
Zaś pan Olaf idzie radszy,
Jakby szedł na ucztę gość.

Do chmurnego króla rzecze,
Nie krzywiąc śmiejących warg:
„Witaj, teściu, miły człecze,
Czekasz, widzę, na mój kark.

Mam umierać, więc poproszę,
Nim się moja przerwie nić,
Niech weselne mam rozkosze,
Do północy daj mi żyć.

Daruj mi tych godzin parę,
Aż przetańczę jeszcze raz,
Aż ostatnią spełnię czarę,
Do północy daj mi czas!”



Więc powiada król do kata:
„Trzeba zięciu ulgę dać,
Lecz gdy północ zakołata,
Głowę jego na pień kładź!”

II.

Wre weselisko; czas prędko przemija,
Pan Olaf resztek puharu dopija,
Żona padła mu do nóg,
Żal ją zmógł...
Kat stoi za drzwiami i czeka.

Gdy grać zaczęli, pan Olaf wesoło
Wziął żonę i puścił się wkoło,
Przy pochodniach płonących u ścian
Ostatni tan...
Kat stoi za drzwiami i czeka.

Zagrały skrzypce z fantazją okrutną
A flety łkają tak rzewnie, tak smutno...
Kto ich widzi tak tańczących wraz
Zadrży choćby głaz...
Kat stoi za drzwiami i czeka.

Skroś hucznych dźwięków, tanecznych zawrotów
Tak szepnął do niej Pan Młody: „Jam gotów,
Lecz gdybyś wiedziała, com czuł...
Jak zimny ten dół...”
Kat stoi za drzwiami i czeka.

III.

Panie Olafie, północ już,
Gaśnie twoich dni kaganek,
Królewskich śmiałeś dotknąć róż,
Ty jej mąż i jej kochanek.

Rozpoczną mnichy śmiertny śpiew,
Widać z toporem człowieka,
W ubiorze czerwonym jak krew,
Stoi przy pniaku i czeka.

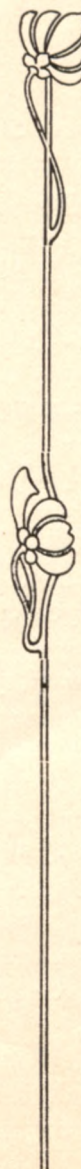
Pan Olaf śmiało przeszedł próg,
Zaraz go tam obścąpili,
Lecz on z uśmiechem, próżen trwóg,
Tak się pomodlił w tej chwili:

„Błogosławiony słońca żar,
Ten miesiąc jasny, ta gwiazdka,
Błogosławiony ptaszków gwar,
Gdy się nawołują z gniazdka.

Błogosławione głębie morz
I ten cały świat uroczy
I wy bławatki pośród zbóż
Jak jej czarujące oczy.

Przez was to mię spotkał kres,
O cudne oczy mej żony,
I ten, gdzieś mą była, bez
Niech będzie błogosławiony”.

Tłumaczył St. S.





Na Kapitolu...

Bogami ich zwano i budowano im wysokie chramy.

Szary tłum gorących wyznawców stawiał im kościoły z grubych, ciosanych złomów, potem codziennego wysiłku i naiwną wiarą zataczając je na strome wzgórza.

W mrocznym cieniu i zielnym, woniejącym dymie wznosiły się ich posagowe postacie.

W krwawym blasku ofiarnych ognisk paliły się im stopy i odbijały się kraje ich szat kamiennych.

— Zwano ich bogami i budowano im chramy — na Kapitolu..

— Byli tylko kapłanami swej religji i służyli tylko swoim bogom.

Kładli na siebie białe szaty i głowy stroili w weselne, zielone wieńce, gdy szli Bóstwu czynić ofiarę.

Wysoko, błagalnie podnosili swe wychudzone dłonie nad skrwa-wionym i skwierczącym się mięsem i nad syczącym w ogniu miodem ofiarnym.

W dymie zielnym, w ogniu ofiarnym, w ciszy chramnej—stali oni, kapłani swojej religji i słudzy swoich bogów, zapatrzeni w objawioną prawdę, w wyczuwaną tajemnicę....

Na Kapitolu.....

— Żyłaste, muskularne ich członki, w skromną ubrane odzież, zbrojne w tarczę i miecz krótki,—gorącą opływały krwią i mocnego mieściły ducha.

Obywatelami ich zwano; służyli kapłanom, wierzyli bogom, bronili chramów, byli murem obrotnym i ścianą chronną na Kapitolu..

Aliści dnia pewnego przyszedł wiatr wielki z ziemi nieznanej, tumany kurzu niosąc i żwiru drobnego, łamiąc gałęzie i obrywając liście.

Jak ptak drapieżny spadł na świątynie bogom święcone i pozrywał z nich dachy, pokrycia, wiązania...

Do otwartych świątyń przemocą wdarło się słońce z ulicznym kurzem i deszczem.

Zgroza wielka i przerażenie ogarnęło kapłanów...

* * *

Minęły lata, nadeszły inne czasy. —

Na Kapitolu, na rumowiskach, zasiadłszy w kucki, grzejąc nogi i ręce, rozprawiają bogowie o dawnych dobrych, boskich czasach...

Objawienie przerobili na metafizykę, metafizykę rozłożyli na pozytywne, realne kwestje Merkurego, Marsa, Wenerę...

— Na Kapitolu...

Kapłani się poženili i dzieci płodzą. (Duże, ładne, zdrowe dzieci). Kooperacja rodzinna, higiena społeczna.

Na Kapitolu snuje się kulawy, podagryczny, chudy cień obywatela. (W jednej ręce trzyma żółtkły wieniec, w drugiej kwit lombardowy na zastawiony miecz).

Bogowie przewartościowali swą boskość. Kapłani tyją. A duch obywatela utykając, chowa się za murami, przesuwając się po krużgankach jak cień, senny i ledwie dostrzegalny, pełza po dawnych świątynnych salach.

Tylko puszczyk huka —

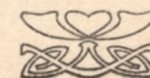
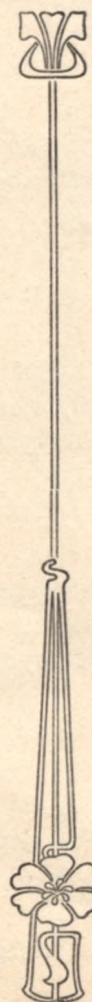
tylko wiatr smętne pieśni wydzwania,

„krzew zważył wichler ostry,

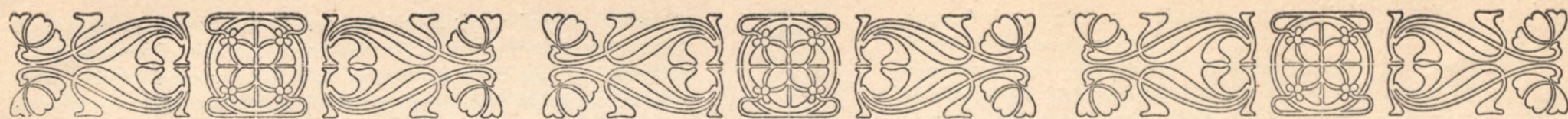
— laurów niema, a róże pomarły“...

— Kapitol rozwalony. Rzym zburzony. Świątynie puste.

Wrogu, wchodź bezpiecznie!



K. Br...



Napoleon a sprawa polska.

Wyniki badań naukowych nad epoką napoleońską są naszemu społeczeństwu mało znane, lub też podlegają spaceniu pod wpływem legiendy, która koło postaci wielkiego cesarza francuzów się wytworzyła. Nic więc dziwnego, że po dziś dzień w sądach naszego ogółu na stosunek Napoleona do sprawy polskiej góruje fantazja nie wspólnego z prawdą historyczną nie mająca.

Najważniejszym jednak błędem w sądzeniu naszego społeczeństwa o stosunku Napoleona do polaków będzie zawsze to, że legienda uczyniła z Napoleona poniekąd bohatera narodowego, któremu tylko tragiczny los własny nie pozwolił Polski w całym jagiellońskim majestacie odbudować. Przeciwnicy zaś legiendy, krytykując fanatycznych wielbicieli Napoleona, pozwolili się reakcji zbyt daleko unieść i, przyjąwszy w zapale ich stanowisko, kazali cesarzowi francuzów zdawać sprawę z tego co mógł, a co w rzeczywistości dla Polski uczynił. I sporo musiano zużyć energii, aby wykazać, że w celu wyrobienia zgodnego z historyczną rzeczywistością sądu na stosunek Napoleona do sprawy polskiej, należy za punkt wyjścia przyjąć nie zawiedzione polskie nadzieje i pragnienia, lecz układ politycznych sił Europy na początku w. XIX, i cel, do którego Napoleon dążył. Dopiero wychodząc z tych założeń, można dojść do wniosków, zgodnych z prawdą historyczną.

W enuncjacjach Napoleona, które i on przy każdej sposobności szafował, stale powtarza się twierdzenie, że jedynym dążeniem cesarza francuzów jest utrwalenie pokoju w Europie. Co prawda oświadczenia te niezgodne z czynami uważano za zwykły wybieg dyplomatyczny, który miał służyć do omamienia i uspienia czujności przeciwników. Lecz tak nie było. Napoleon mówił prawdę, że chce pokoju, ale trwałym pokojem, a jedynie o taki mu chodziło, w jego mniemaniu mógł być tylko taki, który zapewniał i ugruntowywał jego władzę we Francji. Zdawał sobie on doskonale sprawę, że jego położenie we Francji wcale pewnym nie było. Wprawdzie skolatana burzami rewolucji, ofiarowała mu ona purpurę cesarską, lecz dar ten

bezinteresownym nie był. Purpura pociągała za sobą obowiązek utrzymania w całej pełni zdobyczy zwycięskiej burżuazji, która chętnie zrzekała się wolności i politycznego kierownictwa państwem, lecz wzamian żądała zabezpieczenia równości przed prawem, no i spokojnego posiadania dóbr narodowych, nabytych przy likwidacji starego porządku. O ile więc Napoleon był na siłach przeciwdziałać powrotowi Burbonów i jego konsekwencjom w postaci przywrócenia w prawach emigrantów i kościoła, o tyle mógł być pewnym swego panowania we Francji. Lecz dla starej Europy był on zawsze tylko parwenjuszem i natrętem, który przemocą wdarł się na tron, przez Burbonów tragicznie osierocony. Był odpowiednią sposobność, a rządy Europy, które nie były w stanie pogodzić się z nowym porządkiem rzeczy we Francji, postarają się o obalenie cesarstwa i tron Francji przywrócą Burbonom. Aby uniknąć tej ewentualności, należało zaszachować przeciwników i tak sprawami pokierować, iżby nie tylko go panem Francji uznali, lecz sami byli mu pomocni w utrzymaniu się na tronie. Osiągnięcie tego niemożliwym nie było. W Europie było sporo zadawnionych antagonizmów między mocarstwami, sporo spraw niezadowolonych, które poruszone przez zręcznego dyplomata, łatwo mogły w puch rozbić sztuczną, pod wrażeniem momentu skleconą, antyfrancuską koalicję. Wszystko to umiejętnie wykorzystane przez trzeźwo, a daleko patrzącego męża stanu i dyplomata, a takim w każdym calu był właśnie Napoleon, i poparte odpowiednią armją, nie tylko że mogło niebezpieczeństwo odwrócić, lecz zmusić niedawnych przeciwników wiernie służyć napoleońskiej sprawie.

Przedewszystkim na wschodniej granicy Francji był cały szereg drobnych i słabych państweczek niemieckich, które zdawało się, że przez samą opatrność były na to stworzone, aby być bezpieczną barjerą dla Francji. Żeby zaś niemiecka barjera nie zawiodła, należało na drugim krańcu Europy znaleźć sprzymierzeńca, któremu by własny interes wskazywał wiernie Francji się trzymać. Myśl nową



nie była — otrzymał ją Napoleon w spadku po statystach francuskich XVII i XVIII wieku — nie znaczyło to jednak, że nie było można z niej w wieku XIX osiągnąć korzyści. Wprawdzie niechęć i nieufność starych rządów stawała poniekąd na przeszkodzie wprowadzeniu w życie dawnego programu francuskiej polityki zewnętrznej, lecz z temi szkopułami można było się uporać, byle tylko znalazło się państwo, które ze względu na rozporządzalne środki i zasoby, gwarantowało należne wywiązanie się z zadania aljanta Francji. Pod rachubę przedewszystkim poszły Prusy, ponieważ one przy starym porządku rolę sprzymierzeńca Francji pełniły, ponieważ stosunkowo najwcześniej ze wszystkich państw Europejskich ze wstrętu do rewolucyjnej Francji się wyleczyły i nakoniec, ponieważ niedawno swe terytorjum przez nabycie olbrzymiego szmatu ziem polskich wielokroć powiększyły, a przez to tymbardziej rozporządzały odpowiednią siłą, aby się dodatnio wywiązać z powierzonego sobie zadania. Nie szczędzi więc Napoleon najbardziej różowych perspektyw byle tylko Prusy pozyskać dla swych celów, i byłby dopiął swego, gdyby nie Rosja, która groźbą podniesienia sprawy polskiej i oderwania od Prus ich świeżych nabytków zmusiła tajnego aljanta Francji do rzucenia się w objęcia jej przeciwników.

Kiedy zawiodły w ten sposób pokładane przez Napoleona na Prusach nadzieje, musiał on swój stosunek do nich zasadniczo zmienić, a przedewszystkim uczynić je na przyszłość nieszkodliwymi. Taką jest geneza wywołanego przez Napoleona w zaborze pruskim powstania i zarazem pierwsze jego bezpośrednie zetknięcie się z sprawą polską. Rezultatem zaś okazał się nowotwór mianem Księstwa Warszawskiego ochrzczony, który niepowszednie zadanie w polityce Napoleona miał odtąd spełniać. Przez przyłączenie tego surrogatu państwa polskiego do Saksonji próbował Napoleon powołać polsko-saskiego następcę dla Prus w swej kombinacji politycznej, lecz kombinacja ta była zbyt słabą, aby móc zapełnić tę lukę w rachubach Napoleona, która ze względu na zwinięcie chorągiewki przez Prusy się wytworzyła. To też stoi ona u niego na drugim planie, a umysł Napoleona przedewszystkim absorbuje kombinacja, która się w Tylży wyłania. Tutaj podczas pertraktacji pokojowych, które miały się przymierzem franko-ruskim zakończyć, chce Napoleon ofiarować ziemie polskie na Prusach zdobyte Aleksandrowi, aby go w ten sposób pozyskać i zmusić do podjęcia roli, korzyści której Prusy nie rozumiały. Aleksander jednak daru nie przyjął, bo w danych okolicznościach był on dla niego ciężarem. A Księstwo Warszawskie, które miało być cementem spajającym interesy Aleksandra z interesami Napoleona i jednocześnie asekuracją dynastji Napoleonidów przeciw możliwym ewentualnościom, rzuciło cień na tak dobrze zapowiadający się w Tylży aljans i stało się bodaj że najważniejszym powodem do zerwania. Mie-

sce zaś kombinacji rosyjskiej zajęła kombinacja saska, która jakkolwiek słabsza, nieużyteczna dla celów Napoleona nie była. Dawała ona Napoleonowi do rąk klucz do sprawy polskiej, i w razie jeżeliby Aleksander nie chciał być powolnym dla jego planów nadawała się znakomicie do obezwładnienia, a nawet być może do rozgromienia Rosji.

Dlaczego jednak, kiedy doszło do zerwania między Napoleonem a Rosją, kiedy wojna stała się nieodwołalną, kiedy wreszcie staje się ona faktem spełnionym i Napoleon wyrusza na czele wszystkich swych sił włąb śnieżnych pustyń Moskwy, nie korzysta on ze swej przewagi nad przeciwnikiem i sprawy polskiej, jako oręża przeciw Rosji nie użyje? Przecież w rękach takiego gracza, jakim był Napoleon, sprawa polska mogła uczynić pogrom Rosji więcej niż możliwym.

Jeżeli więc Napoleon nie wykorzystał przeciw Rosji takiego atutu, jakim była sprawa polska, to nie był to błąd wyływający z niedoceniań jej dla Rosji lub innego mocarstwa rozbiorczego, lecz z przeświadczenia, że pomimo całej swej doniosłości poruszenie sprawy polskiej, które musiało konsekwentnie doprowadzić do jej odbudowania, nie nadawało się do jego ostatecznych celów.

Aby zrozumieć to stanowisko Napoleona należy wziąć pod rachubę osobisty pogląd jego na sprawę polską. Wyruszając przeciw Prusom, Napoleon po raz pierwszy zwrócił uwagę na sprawę polską i postarał się bliżej z nią zapoznać. W tym celu przeczytał opis Polski jeszcze za czasów Burbonów sporządzony i na zasadzie wiadomości zaczerpniętych z tej mocno przestarzałej książki, przybywszy do Polski, stale wypytywał o „votre popolite“, o którym tyle czytał. Pobyt w Polsce podczas Kampanji rosyjskiej nie wiele powiększył wiadomości Napoleona o Polsce, ponieważ zajęty kombinacjami strategicznymi, nie miał czasu na studjowanie stosunków polskich. Jako dosadny przykład, że pod względem znajomości Polski Napoleon nie wiele odbiegł od prostego swego gwardzisty, który się dziwił, że polacy taki biedny i błotnisty kraj nie wstydzili się swą ojczyzną nazywać, może służyć jego słownik polski, który ograniczył się do następujących słów: „chleba“ „niema“ „błoto“ „jest“. Takie wiadomości bezwarunkowo nie mogły wystarczyć dla wyrobienia sobie samodzielnego sądu o Polsce i sprawie polskiej; to też Napoleon, kiedy bieg wypadków postawił go oko w oko ze sprawą polską, musiał z natury rzeczy przyjąć ten sąd o Polsce i polakach, jaki na zachodzie pod wrażeniem rozbiorów powstał. Opinia zaś europejska, jakkolwiek współczująca nieszczęściu polaków, niezbyt przychylny o nich sąd sobie urobiła. Według niej, naród, który w dobie budzenia się innych narodów tak łatwo dał się pozbawić samodzielnego bytu państwowego, nie wielką wartość moralną przedstawiał. Przedewszystkim zaś cechowała; według tej opinji, charakter narodu polskiego „niestałość“ i „lekkomyślność“, dwie wady kardynalne, które je-



dynie w dostateczny sposób niedoceniając przez Polaków niepodległości wyjaśniały. I sąd ten nie tylko że się nie zmienił, ale otrzymał nowe dowody na poparcie swej słuszności, gdy na zachodzie pojawiły się legjony polskie i swym męstwem i wszelakimi cnotami, które tylko doskonali żołnierz posiadać może, ogólny podziw wzbudziły. Bo czyż nie tym wadom przypisać należy, że państwo, które takim żołnierzem rozporządzało, nie było w stanie od obcej przemocy się obronić? Takie było zdanie Europy. A Napoleon, który zajął się sprawą polską wtedy, kiedy ona w krąg jego interesów wkroczyła, nie zadawał sobie wiele trudu, aby prawdziwość tej opinii sprawdzić i przyjął ją jako wskaźnik dla swego postępowania. Wychodząc zaś z założeń takich, nie mógł swoich planów opierać na tak niepewnym żywiole, jakim byli w jego mniemaniu Polacy, bo byłoby to budowaniem zamków na lodzie. Tam gdzie w grę wchodziły siły realne, „słomiany zapał“ Polaków pod rachunek iść nie mógł. Gdzie przeciwnikami były mocarstwa, które pomimo tylu klęsk jak feniks powstawały z popiołów do nowej walki, Napoleon nie mógł związywać sobie rąk sprzymierzeńcem, który dzisiaj mógł cudów męstwa i poświęcenia dokonać, jutro zaś biernie ulec pierwszemu, kto nad nim po panowanie sięgnie; jeden niezaprzeczony plus mieli Polacy — nieporównanego żołnierza, lecz żołnierz ten dopiero wtedy dla Napoleona stawał się pożądanym, kiedy po nad nim stał oficer i rząd, dający wszelkie gwarancje stałości, a takim rząd polski być nie mógł.



Nie odbudowanie więc Polski, lecz obawa przed nim mocarstw rozbiorowych mogła oddać Napoleonowi większe chwilowo usługi. A la longue zaś najbardziej do celów cesarza Francuzów nadawało się utworzenie na wschodzie Europy takiego państwa, które potrafiłoby wyzyskać Polaków dla utrzymania w posłuszeństwie dla Francji Niemiec. W myśl tego Napoleon chętnieby widział Polskę pod rządami Prus. A kiedy ta kombinacja z powodu zdrady Prus zawiodła, wysuwa inne w tym rodzaju, gdzie w grę wchodzi na przemian Saksonja, Rosja, a nawet Austria. Bo sprawa polska, która według Fryderyka Wielkiego była komunją, która nierozzerwalnymi więzami połączyła Rosję, Austrię i Prusy, w rękach Napoleona miała się stać tym klinem, który na zawsze miał te mocarstwa pomiędzy sobą poróżnić i przykuć wybrane z pośród nich do Francji. Gdy to się nie uda, to jeszcze będzie można upiorem wskrzeszonej Polski straszyć wyłamującą się z pod tyłzyckich więzów Rosję. Lecz brak wiary w polską stałość i obawa przed polską lekkomyślnością i polskim słomianym ogniem, który w każdej chwili zgasnąć może, nie pozwolił Napoleonowi nawet w najbardziej krytycznym momencie, kiedy wszystko będzie rzuconym na kartę użyć jako atutu odbudowania Polski i na sojuszu z nią oprzeć swe kombinacje polityczne.

Z.



Nie ugodość układna szlachty czeskiej, ale twarda oporność chłopstwa czeskiego i jego husyckie wspomnienia stworzyły byt i rozwój narodu czeskiego.



Solidarność polska — a czyż ona egzystuje poza solidarnością herbów, rodów, klik i kliczek?



Dlaczego solidarność chłopska jest u nas większą od solidarności szlacheckiej albo szczególnie mieszczańskiej? Bo mieli oni wspólnego pana i wroga.



Ludzi nam brak — oto ogólny okrzyk w przeludnionym naszym kraju. Któż go więc zamieszkuje?

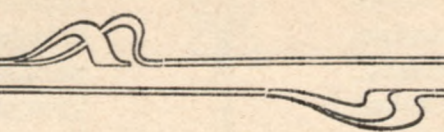


Jeśli jest mowa o solidarności narodowej, to nadstaw ucha, a usłyszysz dobrze ci znany huczek: „hejże na Soplicę“.



Dewiza solidarności polskiej: wszyscy na jednego — a nikt za wszystkich.

M. B.



Cyganiętom.

Strupieszale, martwe lica,
To maskary, senne widma,
Poronione życiem w mękach,
Snują im się jakieś skrzydła,
Niebo, piekło, sen, straszydła,
I anioły w czarnej skórze.
Tron Bachusa, a w purpurze krwi narodu
Jazń zmroczona. A tam w górce,
Nad jej czołem winem złane djamenty.
Androgyne — to kult święty,
Naga dusza, rozpacz, żal,
Wódka, dziewczki i kora'e.

Wreszcie? praca, gdzieś w przestrzeni
Na jakimś ojców łanie
Nad Sekwaną, czy w Monako,
Lwy, tygrysy, polowanie,
Powrót do rodzinnej ziemi
I z narodem dusz zbratanie.

Adam Nowiński.



◉ Ewiva l'arte! ◉

Za Tobą stałem me tęskne spojrzenia
W młodości mojej smutnych dniach,
Ciebie widziałem w chwilach zwątpienia,
W momentach czaru i upojenia,
W marzeniach, w snach. —
Za Tobą siedłem wśród niskich chat,
Za Tobą w ruin wstępowałem mury,
Sonilem Cię wśród miast,
W świątyni odwieczny schodziłem świat.
By czarów Twoich ujrzeć kwiat
Wspinałem się na góry.
I rozmyślałem przez sznur
Przedemną — —
Wabiłaś blaskiem swoich szat,
Tęczowym szlakiem wśród chmur,
Zakryłaś przestrzeń ciemną

I ukochałaś słońca krąg,
Świeklany sławy blask — —
Za Tobą biegnę przez życiowy las
W spokoju ciszę.
Za Tobą idę w jasny dzień
I w zmierzchu czas
I w ciemną noc,
Idę, gdy burza rozkołysze
Sywiołów strasznych dziką moc.
Za Tobą idę w świat wysniony,
Gdzie łni upojen cud — —
W świat pójde czarów — wymarzony,
Gdzie płonie piękna znicz czarowny
I cudowny
Ogień złud! —

Mieczysław Jabłoński.





BURZA.

— Michał! weźno czapkę! odniesiesz instrument do pana Pawłunia. Przydziesz, to się uklonisz elegancko i powiesz, że pan majster (niby ja) bardzo się kłania i przysyła skrzypce, że bardzo ładnie było na nich grać i tego... Będziesz pamiętał? no, leć!

— Czyś się wścik, czy cię odymiło? jakże ón na taką burzę, na taki dyszcz., mówi żona.

— Nic mu nie będzie, nie z cukru, nie roztopi się. Idź, powiadam i spraw się dobrze, bo... wały!

— Ale! to tobie wały, stary ośle! nie dam chłopca poniebrać, nie pójdzie. Jak chcesz to sam idź! jaki mądrala! On myśli, że to tak... sam idź!

— Nie „sam idź” tylko chłopak pójdzie; na to go przecie mam. Co ja go tu na pieszczoty chowam? Co? Powiadał, żeby mu koniecznie odesłać, bo u nich dzisiaj wielka tanc—zabawa...

— Aha! będzie grał, kiej tak grzmi...

— Właśnie! To mu jest dopiero fajne. Prym będzie trzymał na skrzypcach, a sekund w piorunach; nie trza basów...

— No! ino trzymaj głowę w porządku, ty... niech nie powiem... Co za pysk, jucha, paskudny... ludzie kochani... jeszcze nie słychać. Dyć o wypadek nie trudno

— Dość, że ma iść i basta!

— Kiedy nie wiem gdzie—wtrącił Michałek nieśmiało.

— Nie wiesz gdzie? ty draniu! ja ci tu powiem „nie wiem gdzie”. Na końcu języka! wiesz teraz! Tu idź, tam idź, popytaj, powąchaj i trafisz. Jazda. Niech cię nie widzę, bo...

Michał ubrał się, wziął skrzypce i ruszył ku drzwiom.

— A parasol se weź! (krzyknął mu na drogę majster) tylko nie zepsuj, bobym kieszki z ciebie wydusił, no!

Stał w bramie i ze strachem spojrzał w czarną czeluść ulicy. Ulewny deszcz trząsał w bruki; szyby w oknach dygotały jak we

febrze; woda z rynów buchała spazmatycznie; od czasu do czasu wichry z niesłychanym gwizdem, szumem, łoskotem przelatywały środkiem ulicy, zmiatając wszystko, co mu stało na drodze. Nękana ziemia jęczy, stęka. Złakł się Michałek. Tam iść? — za nic!

Nagle otworzyły się drzwi na pierwszym piętrze: wypłynęła struga światła i zmieszała się z ciemnością w jakiś kolor brudno-biały. Wypłynął się przyciszony gwar zmieszanych głosów i sypał się ciągle, aż przerwał tę kaskadę gwałtowny głos pana majstra.

Michałka jakby coś pchnęło. Wpadł odrazu na środek ulicy. Czapkę wbił mocno na uszy, parasolem się nakrył jak skrzydłem, skulił się w sobie, zmałał, by miejsca jak najmniej zajmować i złego nie drażnić i ruszył przed siebie. A tu deszcz prał; w rynsztokach wezbrane fale syczały, gwałtem chcąc gdzie znaleźć jaką czeluść: tam wpaść, schować się, zginać, wpaść! Łyskało się tak, że myślał: świat się pali.

Runął grzmot!

— „Rany boskie!”

Grzmot ten wpadł w niego, roztrząsł mu wszystkie kości; dech mu zaparło, krew w żyłach stygnie... Ale szedł, mocą bezwładności szedł. Wiedział, że teraz będzie się ulica skrzywiać, że nie pójdzie prosto, ino zboczy na lewo, a potem...

Naprosć niego stała wązka uliczka aż po najwyższe szczyty nalana najgęstszą ciemnością. Coś się tam roiło, kłębowowało, jakieś potworne, złe. Zdawało się, że lada chwila wyskoczy; ziało stamtąd zimnem jak z niezgruntowanych przepaści. Kto tam spojrzy, temu się rozum odrazu pomiesza i przepadnie. Na tle nieprzebitych ciemności przelatywały co chwila jakieś blade cienie. Jakież oczy nieruchomo zawieszone u szczytu żarzyły się, wypatrując pilnie kto tu idzie; dojrzały, zagasły. Teraz cisza ogromna wali się na świat. Sły-



chać ohydne mlaskanie i syk. Znowu cisza. Dzwony gdzieś biją przeciągle, ponuro...

W imię Ojca i Syna... Michałek chciał skrócić na lewo, wtem w owej strasznej ulicy rozległ się ryk przeraźliwy, ryk pełen wściekłości...

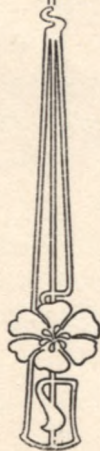
Jeszcze tego dobrze nie usłyszał jak nim coś gwałtownie szarpnęło i pchnęło kilka kroków wstecz. Zerwało mu czapkę. Byłby wtedy umarł ze strachu, gdyby nie jedna, kto wie czy nie jeszcze straszniejsza myśl, która nim w zupełności zawiadnęła: wicher uderzył w parasol, którego Michałek za nic w świecie nie chciał z rąk wypuścić i wyłamał go na wywrót... parasol pana majstra! Przy słabym świetle, które jak łzy cienkimi pasmugami z latarni na ziemię ściekało, ujrzał ten parasol: leżał na ziemi, jak wielki, obwisnięty pędzel, z którego ciekła jakaś czarna ciecz... Myśl ta przejęła go taką zgrozą, że zapomniał o swoim istnieniu, zginął. Odruchowo tylko poruszał się ciągle naprzód, gwałcił się pod falami wściekłego deszczu, przedzierał się przez morze ognia, szedł, potem biegł...

Tu znowu trzeba skrócić na prawo. Skręcił. Nagle rozległ się płaczliwy, z pod ziemi gdzieś wydarty jęk... pękła struna i jak wąż palącemi skręty obwinęła się wokoło jego ręki. Drgnął. Odruchowo podniósł skrzypce. Chciał ratować, przytulić do piersi... Znowu wbił się w niego przejmujący jęk: struna skoczyła i wycięła go w twarz...

Puścił się cwałem, wlokąc za sobą parasol, z przodu jaknajdalej od siebie trzymając skrzypce, które bite deszczem i wichrami, płakały i wzdychały—najdziwniejszemi zawodziły głosami.

— Nareszcie! Tu mieszka ten pan, tu wejść, ukłonię się i powiem, że pan majster się kłania i przysyła...

Stał pod drzwiami w ciemnej sieni. Czekał chwilę, potem z niesłychanym wysiłkiem otworzył drzwi. Izba jasno oświetlona, tyle ludzi, każdy się obraca i patrzy na niego, patrzy... Michałek stracił głowę do reszty. Położył skrzypce przy drzwiach na podłodze i uciekł...



Dopał ulicy i gnał, gnał bez pamięci, gnał tak, że się zdawało jego nogi, stykając się z ziemią eksplodowały, on sam wylatywał w przestrzeń jak pocisk.

— Ten ci dopiero musi za mną dymać, ten skrzypek: trzymajcie tego złodzieja, trzymajcie!

Nie oglądał się za siebie, nie widział, nie patrzył, ale czuł — czuł jak tam z tyłu jakaś ręka, długa na cały kilometr wyciąga się za nim, chce złapać... łapie... czuł już chłód jej palców na swoich włosach...

— Ratunku! Udusi mnie jak motyla. Wynajdzie se, wymaca te chrząsteczkę na gardle i ściśnie, będzie ścisnął...

Jakby sprężyną pociśnięty dał kilka olbrzymich susów i już prawie bez tchu wpadł w bramę... Wbiegł po schodach do sieni. Po jednej stronie był warsztat. Tam Michałek wejść się nie odważył. Po drugiej stronie była kuchnia. Tam wszedł a raczej wśliznął się, jak mógł najciszej.

Z warsztatu bił hałas, śmiech, śpiewy hulaszczę, tu cisza... Ciemno było, ale i po ciemku namacał kuferkę swój, wyjął czystą koszulę, pozrzucił z siebie wszystko i cisnął ten kłęb nasiąkłych wodą łachów w kąt, za szafę. Wdział suchą koszulę, omackiem przyczołgał się do swego siennika, co leżał pode drzwiami i legł. Nakrył się kołdrą i kocem, cały się nakrył z głową, ze wszystkim, skulił się i uczuł się nieco bezpieczniej. Nikt go nie goni, nie biją go, nie mordują. Trząsł się jak galareta, dygotał, szczekał zębami. Dopiero jak trochę to zimno z niego wylazło i uczuł, że błogie ciepło rozchodzi się po ciele, rozkurczył się nieco i odważył się odchylić koniuszek kołderki jak skrzele. Wystawił głowę, łyknął kilka razy świeżego powietrza i znowu swobodniej odetchnął. Uczuł się całkiem bezpieczny. Nie mógł tylko o niczym myśleć, nie przypomnieć. Owładnęła go nieprzewyciężona żądza spoczynku. Czuł nieustający brzęk i szum, i wśród tego szumu zasnął.

St. S.





List. ==

*I cóż ja Tobie znów odpowiem?
Czy dawać rady jakieś dalsze?
Czy może się pochwaleń zdrowiem,
Że nerwy moje wytrzymałszy?*

*Najczęściej chociaż przyjaciele,
Takiemi my jesteśmy zgola...
Że ktoś przemawia bardzo wiele
Treść dusz odgadnąć czyż wydoła?*

*Jeżeli są zbawienia bramy,
W własnej ich tylko szukać duszy,
A wszelkie takie mądre gamy,
Alboż to kogo kiedy wzruszy?*

*Trzaby miłości bardzo dużo,
Spojrzenia w głąb stuletniej ciszy...
Komu się w głowie myśli chmurzą,
Wciąż siebie tylko, siebie słyszy.*

*Nie może wyjść z tej sfery marzeń,
Z tej własnej myśli podłej matni,
Żadnych nie widzi wokoło zdarzeń,
Głos żaden go nie dojdzie bratni.*

*Więzieniem strasznym są marzenia.
Trawi cię bezczynności zmora,
Świeżego duszy braknie technienia,
Uboższa dzisiaj niżli wczora.*

St. S.



Z cyklu „Dusza”.

Chciałem zaczerpnąć ze swej cichej studnie
wody dla ust mych spieczonych tęsknotą,
ust szukających; chciałem czerpać po to,
bym utrudzony odpoczął w południe.
Idę spragniony, mary mi się plotą,
jako ochłodzi woda kwiaty cudnie,
przyśpieszam kroku — marzyłem ułudnie:
miast wody czystej w studni było błoto!
Ktoś zacczarował studnie czyste moje,
złękły, zdumiony patrzę w puste studnie,
zali mi wrócą dawne czyste wody?..
W wędrówce długiej marne snów zawody
studnie niszczyły; dziś ust nie napoję,
choć utrudzon w to skwarne południe.

K. Swierczewski.



Z cyklu „Odloty”. ==

*O duszo moja, duszo...
Przecz szukasz jasnych zórz,
Przecz szukasz wcieleń snów,
Niebieskich snów na ziemi?
Wichrem miotana burz,
Skrzydłami jaskółczemi
Kołaczesz nadaremnie
O mroźne świata ciemnie,
Już krwią ociekasz ran...
O duszo, duszo mów,
Zali ci już nie dość?
O duszo moja, duszo,
Twe skrzydła snadź nie skruszą
Nigdy lodowych ścian...
Na uczcie życia gwarnej
Niepożądany gość,
Kamienny gość cmentarny...
O duszo, duszo, mów,
Zali ci już nie dość?*

F. Arnsztajnowa.





Nadzieje i troski.

„La vérité qui peut être obscurcie, mais qui ne peut pas être éteinte, c'est que le peuple a besoin de l'art et l'art est fait pour le peuple”.
Ch. Morice.

Życie współczesne oparte na niesprawiedliwości i podżeganiu niskich instynktów zawiści klasowej, na mieszczańskej obłudnej moralności, na tanim pseudo-epikurejskim sybarytyzmie i dorobkiewiczowskich ideałach, życie współczesne to—kult wszechmocnego Pieniądza.

Na miejscu świątyni bogini Piękna i Miłości wzniesiono ołtarz złotemu bożkowi, w ofierze któremu niesie ludzkość najdroższe sny swe i umiłowania.

Rządzi kapitał i sztuka musi poddać się jego panowaniu.

Publiczność zatraciwszy poczucie czystego piękna pragnie „ciszy i spokoju”, twórców zaś poddaje zależności od kapitału. O twórczości decydują już tylko maklerskie prawa popytu i podaży, opinią kieruje krzyczący feljeton i jaskrawy afisz, krytyk zaś daje lekkostrawną papkę, która zaspakaja sumienie „krytyczne” widza i czytelnika.

„Publiczność, a mam na myśli publiczność światłą, nie posiada już ani kryterjum ani formuł gotowych, by oceniać malarstwo, stawia więc tylko to jedyne pytanie przed dziełem sztuki. „Czy oryginalne?” Jeżeli tak, to podziwia. Ten stan umysłowo jest szkodliwszy, niż najgorsza rutyna. Dawniej zwracał na siebie artysta uwagę dążeniem do doskonałości w jakiejś uznanej technice. Dzisiejszy zaś artysta wypracowuje na swój debiut jakieś dziwactwo, poczym zmusza się do powtarzania go aż do przesytu, utwierdzając się coraz to więcej w swej manierze, przesadzając swe błędy...”

Takimi słowy maluje Maurice Denis, jeden z najsubtelniejszych artystów francuskich, tło, na jakim pracuje artysta współczesny.

Dając mało skończonych dzieł sztuki, artyści wystawiają notatki i szkice, pisarze tworzą sposobem fabrycznym na zamówienie i,

stosownie do zapotrzebowania, piszą powieści, jako reklamy wielkich firm przemysłowych*), lub studjują ogłoszenia w rodzaju przytaczanego przez Ludwika Krzywickiego:

Iddei!

Poszukuje się idei do powieści, dramatów i artykułów!!...

Brak odczucia szczerých odruchów artyzmu, obojętność względem najpotężniejszych wysiłków twórcy, niezrozumienie dzieł jego — prowadzi artystę do odwrócenia się od rzeczywistości. Twórca zrywa z życiem otoczenia, zamyka się w wieży z kości słoniowej, stwarzając sobie indywidualną mowę symbolów. Symbole te stają się coraz bardziej niezrozumiałemi, skombinowanemi mechanicznie, a nie wynikającemi ze szczerého poczucia kompozycyjnego. Twórczość poety sprowadza się do muzyki rymów, kompozytora — do rytmu czysto zewnętrznego, malarza — do gamy barw z zupełnym zaniedbaniem rysunku.

Rozrasta i staje się coraz głębszym rozbrat pomiędzy twórcą i otoczeniem. Artysta buntuje się i walczy, chcąc ratować niepokalaną pomysłów zrodzonych w słodkiej udręce twórczej, szamoce się i pada.

Pada, stając się wytwórcą poprawnych miernot, uznanych w „salonach”,

lub kończy tak, jak skończyli Kurzawa lub Podkowiński.

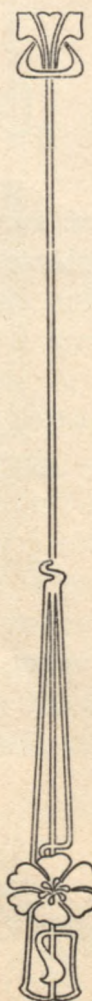
„... Jesteśmy dziś za niespokojni, zbyt zmęczeni...” — pisze jeden z młodych malarzy.

Zwątpienie i niewiara zapanowały nad duszą twórcy.

Gdy, uświadomiwszy sobie krzywdę, jaką społeczeństwo wyrządza artyście, zastanowimy się nad psychiką współczesnego najmity — znajdziemy niebawem styczne, które łączą dwa światy odległe, — świat zjaw przeczystych ze światem nędzy i brudu.

Cierpiąc chronicznie na manję tworzenia sobie bóstw, przypisywaliśmy najmitom wszystkie cnoty rycerskie, tworzyliśmy kult Proletariusza.

*) „Podróż w samochodzie” O. Mirbeau jest niczym innym, jak reklamą, za którą ten „niezależny” artysta pobrał sówite wynagrodzenie.



Zapatrzeni w ten nowy fetysz nie spostrzegaliśmy, że moment idealistyczny zadźwięczał jeno przez piorunową chwilę ekstazy bojowej, by rozpląnąć się w mętnej fali apatii, rozczarowania i krami-karskich porachunków.

Musimy więc obecnie zdać sobie sprawę z tego, że w duszę proletariusza wżarty się głęboko pożądania drobnego właściciela, który za wszelką cenę chce mieć coś własnego, własną rzecz na osobiste nietykalne posiadanie. Musimy uświadomić sobie, że jedynie przez nadanie momentowi idealistycznemu miejsca poczytnego zdołamy uwolnić proletariusza z pęt drobnomieszczańskiego wyrachowania, któremi oplątały ducha najmity—wyzysk i nędza.

Część pracy tej została już wykonaną. Lata ubiegłe, rozwina-wszy w klasie robotniczej świadomość obrony interesów ekonomicznych, negację społeczną i pewien krytycyzm polityczny, obudziły w najmście poczucie godności ludzkiej. Nie zdołały one jednak utrwalić porywów i uniesień, które winny się stać opoką twórców Przyszłości, nie zdołały przekształcić ducha proletariatu.

„Dążenie do poprawy bytu materialnego—pisze jeden z wodzów robotników belgijskich, J. Destré—jest rzeczą bardzo piękną, nie jest ono jednak wszystkim.

Dążenie naprzód, do społeczeństwa Przyszłości, wymaga w jednakowej mierze przekształceń moralnych i umysłowych, jak materialnych...”

Jedynie sztuka—konkluduje Destré,—jako najpiękniejsza forma objawienia się ducha ludzkiego, zdoła przekształceń tych dokonać.

Na tej drodze, na drodze walki o byt i wyzwolenie ducha spotyka się lud z artystą.

Wspomnieliśmy powyżej, że współczesna inteligencja nie tworzy kontyngensu „odbiorców” wrażeń szczerze artystycznych i zgubnie oddziaływa na rozwój sztuki. Stworzenie więc nowej inteligencji artystycznej jest momentem decydującym o przyszłości sztuki. Źródłem tej inteligencji jest nowa „szlachta” Ibsenowska—chłop i robotnik.

J. Ruskin, W. Morris, W. Crane, malarze niemieccy stowarzyszeni w „Vereinigte Werkstätten für Kunst und Handwerk” wskazują na inteligencję robotniczą, jako na podstawę, na której rozwinie się sztuka przyszłości.

Trzeba by artysta i lud stworzyli jedną całość—pouczał W. Morris—a wtedy artysta zdoła przezwyciężyć kółnictwo plutokracji.

Walter Crane na kartonie przedstawiającym święto wiosny, mieści obok chłopów, górników, kowali i rybaków — artystów i poetów.

Trzeba tu jednak zastrzec się przeciwko fatalnemu nieporozumieniu, o które rozbiły się utopijne pomysły Ruskina i Morrisa.

Myśliciele ci, przypisując upadek sztuki rozwojowi wielkiego przemysłu maszynowego, chcieli ją odrodzić przez przeciwstawienie ciemnemu niewolnikowi fabrycznemu—światłego rzemieślnika; chcieli oni przeciwstawić maszynie—warsztat ręczny.

Takie postawienie kwestji jest podwójnie fałszywym.

Sztuka średnich wieków doszła do najpotężniejszego swego rozkwitu dopiero wtedy, gdy artysta wyzwolił się z krępujących go więzów warsztatu cechowego.

Albrecht Dürer został artystą nie w warsztacie Wohlgemuta, lecz podczas lat wędrówki.

Indywidualność artysty rosła tym intensywniej, im dalej artysta odbiegał od zasklepienia cechowego. Naginanie więc artysty do powrotu do stanu dawnego było by zgubnym dla sztuki.

Z drugiej strony same podstawy społeczne, na których budowali ci wielcy utopiści swój pogląd—są gospodarczo mylne.

W czasach, kiedy 99% wszystkich wyrobów artystycznych wytwarzają wielkie i bodaj największe maszyny fabryczne, rzemiosło artystyczne utraciło rację bytu.

Fabryki wyrobów artystycznych ze złota i srebra w samym Phorzheimie zatrudniają 12,200 robotników.

Villeroy i Boch w Niemczech, Sévres we Francji, Royal Worcester Porcelain Co w Anglii—ześrodkowują całą wytwórczość artystyczną z porcelany i fajansu.

To samo da się powiedzieć o wyrobach z brązu, skóry, o meblach, tapetach, płótnach, drukach artystycznych.

Wszystkie te wyroby, wypełniane według projektów artystów, stoją na wysokości estetycznej, a żaden warsztat nie jest w stanie z nimi konkurować.

Zrozumieli to artyści niemieccy, zrzeszeni w wyżej wspomnianym stowarzyszeniu. Zakładając je, myśleli o rozwoju sztuki dekoracyjnej przez warsztaty; teraz jednak zwrócili się do fabryki.

Dla sprawy zaś rozwoju w szerokich masach ludowych potrzeb artystycznych jedynie wielka produkcja maszynowa ma wartość istotną i jedynie artystyczne wyroby fabryczne, dzięki względnej taniości, mogą dotrzeć do mieszkania robotnika.

A wymagania kulturalne i zapotrzebowania artystyczne ostatniego z biegiem czasu rozwijają się coraz bardziej, czego dowodem jest powstawanie i rozwój w Europie Zach. wciąż nowych stowarzyszeń robotniczych, mających na celu wychowanie artystyczne. Stowarzyszenia te zapatrują się na sprawę tak godnie, że obawy szczerych miłośników sztuki niezależnej, którzy powtarzają za Rena-



nem, że „z chwilą kiedy sztuka przestanie należeć do grona wybranych, przestanie ona istnieć”—zdają się być płonniemi.

Gienewski „Union pour l'Art Social” w ten sposób określa swe zadanie:

„Les jouissances élevées que procure l'art, réservées presque exclusivement à un groupe de privilégiés, doivent être mises à la portée de tous.”

Zadaniem, jakie sobie stawiają założyciele związku, jest rozwijanie poczucia piękna we wszystkich formach: obznajmianie z utworami muzycznymi i literaturą, sztukami plastycznymi i sztuką stosowaną.

„Chcemy się przyczynić do rozwoju smaku i poczucia artystycznego. Zadaniem naszym jest wychowanie estetyczne”.

Niedawno utworzone w Paryżu stowarzyszenie robotnicze „Cercle des Amis du Théâtre du Peuple” opiera się na zasadzie, że „ces aumônes d'art populaires” nie wystarczają już robotnikom.

Domagają się ci robotnicy sztuki czystej, która byłaby „wyrazem całkowitym wszelkich objawień artystycznych”.

Brak nam jeszcze doświadczenia własnego w tym kierunku. Takie jednak zjawiska, jak trupa chłopska z Zawad i prawie 200 teatrów włościańskich w Galicji (wprawdzie stojących jeszcze na bardzo niskim poziomie) są znamienne.

„Wrócimy do sztuki o silnym zdrowiu, jaką była archaiczna grecka”—ufają artyści współcześni.

Sztuka musi wyzwolić się z pogńębienia obecnego. Stanie się to jednak dopiero wówczas, gdy lud pozna w artyście brata i towarzysza, kiedy artysta wesprze się na ramieniu najmity.

Wtedy spełnią się wieszczce sny poety o Sztuce—zbawicielce narodów, spełni się wizja jednego z zapoznanych, który pouczał o „podnoszeniu ludowych natchnień do potęgi przenikającej, o podnoszeniu ludowego do ludzkości”^{**) (***).}

B. Mandelbaum.

**) C. Norwid. „Promethidion”.

Poca mnie budzisz, wiosna!

Poca próżno w kwiaty

W mym ogrodzie przystrojasz jabłonki i grusze,

Poca kasztany w srebrne zdobisz pióropusze,

Poco tęsknić mi każesz, rozpłomieniasz duszę?

Myślisz, że rzywać będę ja na łąkach kwiaty,

Twijać wieńce i zdobić białą skrań kobiecą,

Może myślisz, że pójdę w pozaziemskie światy,

A za mną, jak motyle marzenia polecą.

Jak nienasytna, chciwa nalożnica

Kładziesz miękkie swe ciało w łaki rubinowe,

Rozchyłasz wonne usta, żądne, karminowe
Myśląc, że twoje ciało mnie wabi, zachwycę?..

Idź przekłeta!.. A niegdyś cicha, uniebowzięta,

Bez plamy i przesytu.. kiedyś w ciche wschody,

Gdy kaczenie swe główki wychylały z wody,

Gdy oczy nierabudek wabiły tajemnie,

Wtedy kochał ja Ciebie, boś Ty żyła we mnie.

A teraz?.. idź przekłeta! Nie budić wieczną pieśnią

Umarłych snów, nadziei, co obrosły pleśnią

I skruwawionych do lotu nie porzuć skrzydeł,

Przeż!.. przekłeta!.. Nie ciskaj w oczy mi mamiel.

Adam Nowiński.



WESELE.

Pod płotem okalającym duży dworski sad stała grupa kilkunastoletnich chłopców ubranych odświętnie. Gwarzyli między sobą, rzucając złośliwe przycinki przechodzącym dziewczętom, które pojedynczo, lub parami ciągnęły w stronę chaty, nieco na uboczu wsi stojącej, skąd dolatywała gwara licznych głosów. Chata ta, do innych zresztą zupełnie podobna, odznaczała się niewielkim niebieskim szyldem, na którym podłużne plamy wyobrażały chleb i głowę cukru, poniżej widniały trochę krzywe napisy: kawa, herbata, cykorja... Szyld ten, tak niepozorny, zatrzymywał tu wzrok niejednego przechodnia i kierował kroki przez wydeptany próg, kędy szły codziennie zzieleniałe miedziaki: „Chleba za złoty”, „tytoniu”, „sol za trojaka.” — mówiły dzień w dzień różne głosy... wyciągały się dłonie czerniałe, mówiąc o dziejach ciężkiej pracy, z której zrodził się grosz ubogi. Niekiedy dziecko przybiegało z jedyną kopiejką ściśniętą w drobnej garści i przechodząc łakomie oczyma po torebkach i stoikach szeptało spiesźnie: „cukierków...”

Skrzypiały drzwi sklepiu każdego dnia otwierane przez rzesze potrzebujących—dziś jednak stały one szeroko otworem tak, jakby zachęcając każdego przechodnia, jakby nie wymagając grosza, jakby nie licząc na zysk...

Uprzątnięto izbę, powynoszono skrzynie i paki, usunięto ladę z wagą mosiężną—widocznie czyniono tu miejsce jakiemuś niezwykłemu świętu, jakieś tłumnej radości. Z komina buchał dym wesoły, świadczący o strawie gorącej; na przyźbie otwierano beczki z piwem...

Zbita gromada ludzi gwarzyła...

— Już to córce nie żałujecie — zauważyła któraś z sąsiadek, podchodząc do gospodarza chaty. Sklepiarz uśmiechnął się dumnie i ocierając zapocone czoło odparł: „Nieczęste w życiu wesele, niech się ta i nacieszą”.

Zdaleka doleciał niewyraźny jeszcze turkot wozu. Gromada stojących pod chatą poruszyła się niespokojnie.

— Jada już, jada!—wołał Stach kowalczyk, pędząc co sił od strony drogi prowadzącej do kościoła; zdyszany zatrzymał się przed grupą stojących chłopaków. „Jada”—powtórzył—„już są kiele figury”—a po chwili dodał: „Pójdźcie na wesele?”

— A przecie—odpowiedział mały, krępy furmانيak, zajęty w tej chwili odżywaniem gałęzi zwieszającej się z za płotu.

— I my proszeni—dodał Bolek, syn wioskowego cieśli, smagły chłopak z ogorzałą twarzą.

— „Dość ludzi będzie”—„Tęgie wesele”—„Ze dwa dni będziemy tańczyć”—mówili inni

— „A co wódki nasprawdzali! widzieliście”? obwieszczał Stach z tajemniczą miną.

— „Pewno dla starych”—powątpiewał Bolek, któremu łakomie przed oczyma stanął napełniony kieliszek.

— „Nie bój się i dla ciebie starczy!” śmieli się chłopcy.

— „Patrzcie, jak to się Franek ustroił, jaki to ma krawat czerwony: pewnikiem do swej Maryny.”

— „Kawaler z miasta. To ci elegant”—naigrawali się kolejno.

Wtym chłopcy umilkli, gdyż oczekiwany wózek nadjeżdżał. Zaturkotało przed nimi; mignęła biała suknia panny młodej i kilka ogorzałych twarzy wychyliło się z wozu, rozbłysło uśmiechem... jednocześnie parę urywanych dźwięków rzuciło jakby radosną zapowiedź, a po chwili ozwała się nuta dziarska, wesoła... Wesele! Wesele!—zawołał gromko któryś z družbów. Wesele! wesele!—powtórzyły głosy w różnych stronach wioski. — Wesele! wesele! — niosło echo...



Coś, jakby śmiech przeszło drogą, wzdłuż chat i zadzwoniło u każdego okna i obiło się o szare ściany, aż gdzieś u płotu skonało w szmerze liści.

Coś, jakby śmiech, jakby radość wywabiało stąd lub owąd jakąś postać kobiecą lub dziecięcą i prowadziło ją za tym wozem turkoczącym w szybkim pędzie, za tym serca przejmującym okrzykiem...

Jadący zatrzymali się przed ową chatą gościnnie rozwartą, wśród grupy oczekującej. Ktoś strofę wesołą zanucił, a piskliwy głos kobiecy odpowiedział.

Przybyli zeskakiwali rażno. Wyniesiono chleb i sól na przywitanie młodych.

I oto stała się wielka jasność wokoło, bo słońce upodobało sobie ten obraz radości i prostych serc. Złoty szlak blasku szedł ku rozwartym drzwiom chaty i zatrzymały się w nim postacie na codzień w szarości z tłumem zmieszane, a dziś wyodrębnione chwilą jedyną... Na złotej ścieżce w niezwykłej jasności stanęło dwoje ludzi... było to ich święto.. przed nimi rozwierała się chata, w niej czekało na nich życie wspólne... Jako pracowali wczoraj, tak i jutro pracować będą, ale oto z pośród dni troski ten jeden, ten dzisiejszy nosi nazwę odmienną, nazywają go:—dnem wesela.

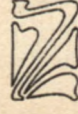
Dwoje prostych serc bierze w posiadanie radość i ściele ją do stóp całej wioski; dwojgu istot przysługuje dziś prawo zapomnienia o troskach, więc jasny promień posyłają chatom, wśród których wyrosli. Z młodej piersi wydobywa się prosta i szczerza zachęta: chodźcie ludzie na nasze wesele... chodźcie wszyscy i starzy i młodzi... i dzieci; chodźcie rzemieślnicy wioskowi, włościanie i wy parobcy, roboczarze; chodźcie wszyscy do naszej radości!

W dniu wesela następuje wielkie zbratanie gromady... Wśród szarości życia staje muzyka weselna, wkoło niej skupiają się istnienia, do niej biegnie pragnienie chwili jaśniejszej. Muzyka weselna gra—słucha gromada..

Słuchają starzy i w sercach ich budzi się echo odległe.. rozbrłyśmy oczy zmęczone...—„Toć i na moim weselu tak grali“—wspomina ktoś głośno.—„Toć i na moim“—powtarza cichy szepł wśród tłumu. Jaśnieją twarze, wesela się oczy, a młodym pilno do tańca. Śmieje się, gwarzy i cieszy weselna gromada... Oj! wesele... wesele!..

Tekla wyrobnica z innemi stoi i patrzy. Szare jej oczy biegają wokoło, wzrok niespokojny ożywia się na widok tęgich parobczaków, poprawia czerwoną piwonię we włosach i w głupkowskim uśmiechu wyszczerza spróchniałe zęby.

Z gromady wysuwa się kołodziej Wiśniak, i ode drzwi chaty wita państwa młodych. Zwykle on na wszystkich weselach przemawia tę samą orację, wiernie powtarzając:



— „Jako ta sól od zepsucia pokarm chroni i jako jadła smaku dodawa, tak niechaj zgoda broni was od nieszczęścia, a miłością życie wasze wspierajcie .

— Całkiem mówi jak ksiądz na kazaniu—zauważył ktoś z boku.

Tekla na mówiącego spogląda, a potem na zielony wianek panny młodej i nagle grymas jakiś twarz jej wykrzywia, a oczy mówią niby żalem cichym, niby niską jakąś zazdrością:

„Nie nosiłam ja nigdy wianka rucianego, ani mi muzyka weselna nie przygrywała“—myśli z goryczą i dalej wspomina:

„Nie jeździłam do ołtarza ślubować, ani mię drużbowie nie prowadzili...

Na czoło Tekli występują zmarszczki głębokie i mówią o ciężkiej serca niedoli, o krzywdzie, która zgasiła nadzieję dnia weselnego, o życiu które ruciany wianek zdeptało.

„Nie było dla mnie wesela, nie będzie dla mnie wesela...“

I oto nagle porywa ją złość na tych ludzi wokoło: skoczyłaby im do oczu, by wydrapać z nich te błyski radości.. podarłaby w strzępy tiulowy welon, migający w blasku słońca... Duszę jej znędziała raz dzień weselny, tak jak promień słoneczny chore oczy.

Ktoś nieśmiało szturchnął ją w bok.—„Mamo, mamo—wesele“—szepnął tuż obok ochryply głos dziecięcy.

Pięcioletni Roman patrzył wokoło swemi błędnymi żrenicami, w których migotała niewyraźna iskierka radości, zaczerpnięta u weselnego ogniska.—„Mamo, wesele!“—powtarzał głos dziecinny, jakby nie dowierzając temu ogólnemu świętu, bo dziecko to jeno do szarych mglistych dni przywykło. — „Mamo, wesele“... szła z drobnej piersi jakby skarga, czy żdziwienie, że nie codzień gra ludziom muzyka. Jednocześnie nieśmiałym szturchnięciem Roman przypominał matce, by szła w gwarną ciżbę do tych, co się wesela.

Spostrzegł kosze z chlebem i z owocami i ozwał się w nim głodne pragnienie, by iść po tę cząstkę weselnej biesiady... On, obdarty, głodny Roman z nadmiernie wielką głową, z szyją pokrytą wrzodami, upominał się o okruchy weselne dla siebie.

Cieszyło się w nim dziecko treści życia nieświadome...

Łaknął w nim nędzarz...

Dziwiło się jednocześnie biedne jego istnienie tej radości.

Przed smutnemi oczyma stanął jasny obraz nieznany.

O duszę uśpioną odbiło się echo jakiejś obcej radości, zbudził go śmiech.

I oto Roman biegnie, staje, patrzy... Muzyka weselna wciąż gra. Gromada mówi... gwarzy... ktoś śpiewa. Skoczna jakaś nuta zakolała sercem dziecięcym.

— Wesele—powtarza Roman i szuka potwierdzenia w oczach matki.

— Mamo... wesele?...

Jakże niewporę odzywa się ten głos radość chwytający!
Dziecko nie wiedziało, nie przeczuwało, było niewinne.

Niewiedziało nadewszystko, że wśród cieszącej się gromady kryją się serca nabrzmiałe bólem, że właśnie jednym z tych pokrzywdzonych było serce jego matki, że oto stało na uboczu odtrącone od jasnej chwili—nie mające wspomnień weselnych.

— Mamo... wesele!... — powtarzał Roman.

W oczach Tekli mignęły dzikie błyski, bo oto nędza jej życia, krzywda jej krzywdy ozwała się głosem dziecka. Stoi przed nią to mizerne stworzenie jako znak widomy nieodwołalnego przekleństwa, które ją w tej chwili odłącza od weselników. Mamo, wesele! — Oto słowa, których głębia łączy tragedję dwu istot—dziecka i matki.

Dziecko nieświadome dopomina się prawa do chwili szczęśliwszej, dotąd nieznanej. Matka prawo to straciła i próżno by go szła szukać, bo oto w życiu swym jest zbłąkana, umysł jej ciemny, drogi przed sobą nie widzi...

— Gdzie dzień mego wesela? gdzie pomsta mojej krzywdy? — zawyło wściekłością w duszy znękaney.

Dwa silne ramiona porywają dziecko. Tekla unosi je w dzikim szale... unosi zdala od gromady, jakby wraz z tym wątłym istnieniem oddalić chciała zmorę duszącą. Rzuca gdzieś pod płótem i bije, a za każdym cięższym razem echo jakieś się żali w pobliżu:

— To za mój wianek zdeptany...

— To za moją krzywdę...

— To za moje życie pełne biedy...

.....
Wieczór zapadł. Muzyka weselna zagłuszyła płacz dziecka... Tak zwykle nikną i gasną cierpienia małych, zapomnianych istot wobec tłumnej gwary życia.

Największym grzechem wobec ludzkości było rozkrajanie jednolitego człowieka na dwie połowy: ciało i duszę, gdyż dualizm ten z konieczności wytwarzać musiał tylko pół ludzi.

Średniowiecze budowało domy świętych i tolerowało domy rozpusty — przyszłość zaś zamiast tych i tamtych posiadać będzie tylko domy chorych.

Łza dziecka spływa samotnie obok dni wesela, obok stołów biesiadnych... pode drzwiami jasnej świetlicy, kędy w zawrotny tan idą pary hulaszczce.

Tekla odchodzi, miesza się z tłumem rozbawionym, śmieje się do kieliszka wódki, pokrzykuje z innemi... Żal i osamotnienie, zazdrość i złość stopiły się w pomście nad dzieckiem i spłynęły w niepamięć. I oto wywija oberka sprawniej od najmłodszych dziewcząt, jakby nagle, wtargnąwszy w radość ogólną, zapomniała o wszystkim—i nie odgadłbyś w niej nędzarki z wczoraj i nędzarki jutra.

W izbie coraz duszniej i goręcej, czuć pot i kurz, w ścisku płaczą się dzieci i, zdobywszy sobie kąt niewielki, tańczą z różnym animuszem. Jestto zarazem i święto dzieci. W gwarę ogólną mieszają się ich głosy. Gdzieś, pod ścianą, zakwiliło przyniesione przez matkę niemowlę, któremu podchmielony parobek wlewa wódkę w wykrzywione usteczka. Ówdzie kilkoro małych nóżek w nadmiernie ciężkim obuwiu tupocze w takt muzyki. Gdzieniegdzie nieśmiały śmiech dziecięcy tonie w rozgwarze...

Czteroletnia Zośka robi pocieszne minki do rówieśnika Janka—chce z nim zatańczyć: „ino raz, ino polkę“ i gładząc go po tłuściutkich policzkach mówi: „tyś ze wszystkich najładniejszy“. A Janek wydyma wargi i z pyszną nadętą miną odsuwa ją od siebie. „A tyś paskudna“—rzuca jej niedbale.

Rozległ się przeraźliwy skowyt psa, który, przydeptany w ciżbie, kulejąc wysunął się z izby. Tam za progiem stał Roman, ostatnie łyż ocierając rękawem. Dziecko litościwie przygarnia skomlące stworzenie i dzieli z nim nadgryzioną bułkę. Dwie biedne, zapomniane istoty tulą się do siebie. Roman gładzi lśniąca sierść Mucyka, lituje się nad nim i w zielone ślepie mu spoglądając, powtarza ochryplym głosem: wesele... wesele... I oto wyraz ten stał się jedyną skargą w ustach dziecka.

Krystyna Chetmicka-Iwańska.

Dualizm średniowiecza lubował się konsekwentnie w jaskrawych przeciwnościach: dobrego i złego—Boga i Szatana—dziewictwa i rozpusty; nowoczesny zaś monizm, zniósłszy te groteskowe kontrasty, potępia jedno i drugie: zarówno dziewictwo jak i rozpustę.

M. B.



W Królewskim parku.

O północnej godzinie w starym królewskim parku jeno nagie drzewa prowadzą przeciągle a smutne rozhowory; kołataniem monotonnym ich konarów rozbudzone kamienne posągi satyrów nawołują się w gąszczach głosem przyciszonym, posępnym. W głębi białą ścianą błyska siedziba królewska, a otwartą wnęką swego podniesienia, strojnego smukłymi kolumnami, patrzy ciekawie w ciemną głąb parku, nasłuchując tajemniczych pogwarów, idących ku niej przez toń stawu, pomarszczonego zimnym powiewem wiatru jesiennego.

Hukanie przeciągle odzywa się w zaroślach; po ścieżkach błotnistych, usypanych gęsto krwawym i złotym liściem, zmarłym w posępne dni jesienne z tęsknoty za słońcem promiennym, słysząc kroki szybkie, trwożne. Żali ubiegłych chwil mary powstałe o północnej godzinie listopadowej nocy spieszą ku białej siedzibie królewskiej?...

...Pieśni miłości, przywarłe zdawna do konarów lip starych, otrząsają się z długiego snu, jak powrotne ptaki przed odlotem i cichym szmerem błędzą w ciemności parku królewskiego. Drży pieśń o cichej łące, przepasanej srebrzystą strugą strumienia, kędy białych owiec stado strzeże Filon zadumany, a jasnowłosa Laura z wiązką kwiecia polnego wsłuchuje się w dźwięki pasterskiej fletni—o nowym spotkaniu pod jaworem, oblanym łagodnymi marzącami blaskami księżycy, namiętne skargi, żale kochanków zawiedzionych i błagalne prośby drżą w powietrzu, unoszone wichrem jesiennym potrącają o białe ściany siedziby królewskiej...

Na taras rozległy, zbiegający stopniami kamiennymi ku ciemnej toni stawu, wychodzi w otoczeniu strojnych dworaków królewski pan—krwawych pochodni blask rozdarł ciemności jesiennego nocy i lunę zapalił w fali, co zdumiona przybiegła do stóp tarasu, przynosząc na swym grzbiecie parę krwawych jesiennych liści. Skinieniem ręki królewski pan rzucił tłum strojny w tan zawodzony—i barwną wstęgą winąć się poczał szumiący jedwabiem, strojny, gwarny tłum dworaków. Ciche tony menueta biegną po fali, kędyś w dal parkową—na tarasie pałacowym w ukłonach głębokich zginają się dumni, wykwinłi dworacy przed damą serca swego, westchnienie ciche biegnie im z ust, a z oczu błyszczą dyskretnie tajone promienie namiętnej prośby: „kocham i mrę, płomieniem twych oczu żarty, nie gardź, o pani! tęsknotę pożegnania znasz, o bezlitosna?—Żali mam wierzyć słowom płochym?...”—ukłon głęboki i złączona para krokiem tanecznym przesuwa się po tarasie, tonąc w mroku.

Otoczony blaskiem dworzan strojny królewski pan igra niem duszę swą ukołysał w nieprzespany sen marzenia; na fali krwawa luna pochodni zapalonych kładła kobierzec wąski, długi, ginący kędyś, w mroku przybrzeżnych drzew, nisko pochylonych nad tonią stawu, jeno liść zwiedły jesienny przybiegał na fali do tarasu i cicho kładł się na stopniach kamiennych—a menuet miękkimi tony brzmiał w powietrzu...

Żałopotwały posępnie nagie konary drzew starych, strwożone nadbiegłym wichrem północnym nagle, w krzakach za-

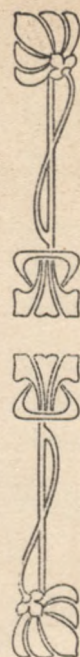


#18122

brzmiał śmiech szyderczy wykrzywionych satyrów kamiennych. Na tarasie pałacowym w pustce nocy jesiennej twarde liniami rysowały się olbrzymie cielska posągów, dremiących nad ciemną taflą stawu—i białymi ścianami świeci martwa, pusta siedziba królewska...

I oto sen się snił: poszum wichru wygrywał tony potężne zduszonej wściekłości w głębi serc trwożnych. Przeciągłymi jęki brzmiał cały park królewski, a z nocnych cieniów wypęły leniwie owe mary krwawe przeszłości szumnej. Na skrzydłach orlich pieśń się niesie, a pierś bijąca nienawiścią uderza w niebo zachmurzone, jak błyskiem piorunu, słowy zaklęcia.

I oto zrywa się w parku poszum nagły: zagwarzyły drzewa wszystkie, podając wieść szczęsną mrokom nocnym; wzniesione rozpacznie ku niebu konary zachwiały się uroczyscie w hymnie tryumfu i radości wielkiej, jeno w gąszczu kamiennych satyrów jednakim szyderczym uśmiechem wykrzywają



swe twarze, a fala strwożona szemrała, bijąc cicho o kamienne stopnie tarasu pałacowego.

Zali to sen?... stąpanie ciche, ostrożne na ścieżkach błotnistych słyhać, jeno za niemi idzie szelest liści uwiędłych, potrącanych stopą szybką, i jakieś szumy nagłe ni to łoskot skrzydeł orlich, ni westchnienie losu zbolale. I zamarł pogłos liści, trącanych stopą szybką, a losu westchnienie przywarło do nagich konarów drzew starych, jako pieśń wieszcząca przez długie noce jesienne; a królewski jeździec, wspinając do biegu rumaka ognistego, zastygł w milczeniu głuchym....

W starym królewskim parku w ciemną noc jesienną o północnej godzinie dziwne mary przeciągają, że drzewa łopocą przeciągle nagimi konarami, słuchając szeptów tajemniczych i szmeru rozplakanej fali, niosącej na stopnie tarasu pałacowego żółkłe liście jesienne.

Kazimierz Swierczewski.



Podwójna buchalterja przekroczeń moralności płciowej u mężczyzn i kobiet — jest filuterją męską nie mniej kunsztowną od rzekomej askezy kapłańskiej.



Nie koniecznie trzeba być Sokratesem, aby mieć Ksantypę za żonę, ale może koniecznie trzeba być osłem, aby być uwielbianym przez Tytanję.



Mężczyzna tak bardzo przyzwyczał się do pojęcia kobiety, jako własności, iż zdziwił się niepomierne, gdy ta własność dopomina się o prawa człowiecze. Zdziwiła się jednak najbardziej i oburza najmocniej — nieuczłowieczona kobieta.

Jesteśmy wszyscy po większej części nienaturalni już choćby dlatego, że „naturalne dziecię” wydziedzicza, prześladowuje i podaje w pogardę przepojone miłością społeczeństwo chrześcijańskie.



Nierozzerwalność małżeństwa jest na mocy dualistycznych pojęć tak ściśle związana z instytucją prostytutki, że kto walczy z tą drugą z konieczności wystąpić będzie zmuszonym przeciwko pierwszej.



Raz to sobie powiedzmy, iż niema grzechów przeciwko moralności płciowej—a egzystują tylko mniej lub więcej patologiczne objawy tego przemożnego instynktu.



B. M.



ŻYRARDÓW

Skład Główny
 W LUBLINIE
 Krak. - Przedmieście № 196/6.

TELEFON № 190.

Płótna Wyroby bawełniane i pończoszane.
 Bielizna stołowa i pościelowa.
 Bielizna DAMSKA I MĘSKA, KRAWATY, SPINKI
 Kołdry watowe, pluszowe, puchowe i wełniane, kapy,
 pledy, chustki, dywany, firanki.

Worki, wańtuchy, opony nieprzemakalne, drelichy.



CZESTOCHOWA 1909r.

Pierwsza Lubelska Fabryka Parowa
 WYROBÓW RZEŹBIARSKO-KAMIENIARSKICH
 Z GRANITU, SYENITU, LABRADORU, MARMURU i t. p.

Jarosław Nowak

Lublin.

ADRES DLA TELEGRAMÓW: NOWAK—LUBLIN. ☉ ☉ TELEFON № 160.

Roboty budowlane. ● Pomniki. ● Grobowce.



Założona w 1884 roku.

Telefon № 22.

**KASA
POŻYCZKOWA
PRZEMYSŁOWCÓW LUBELSKICH
w Lublinie,**

róg Krakowskiego Przedmieścia i Szpitalnej (dom własny).

Kasa otwarta w dnie powszednie od godziny

10-ej rano do 2-ej i pół po południu.



FABRYKA

Turbin, Maszyn i Kamieni Młynskich

Kujawski, Milewski i S-ka

w Lublinie, ul. Foksal № 17.

TELEFON № 18.

Budowa młynów: wiatraków, wodnych, parowych, olejarni. TURBINY FRANCISA do wszelkich spadów, KAMIENIE sztuczne patentowane, francuskie i piaskowe. Stółce walcowe. RYFLOWANIE walców. Maszyny do czyszczenia i mielenia ziarna. Maszyny koszarne. Transmisje i okucia. GAZA JEDWABNA oryginalna szwajcarska.

WSZELKIE PRZYBORY W MŁYNARSTWIE
UŻYWANE.

Lubelskie Biuro Handlowe

WŁAŚCICIELE

T. KUJAWSKI i M. MILEWSKI

w LUBLINIE z oddziałem w RADOMIU.

Krak. Przedm. gmach Banku Łódzkiego. Tel. № 81. || Plac Soborny. dom Karsza.

OPAL: Węgiel kamienny, Koks kowalski, Antracyt, Węgiel drzewny, Drzewo opałowe.

MASZYNY ROLNICZE: Żniwiarki i Kosiarki Mac-Cormicka; Młocarnie Wichterlego, Pługi, Kultywatory, Brony sprężynowe, Siewniki, Sieczkarnie, Parniki, Przyrządy mleczarskie.

WSZELKIE NAWOZY SZTUCZNE,

A. ZAWADZKI

DAWNIJ

Ignacy Hordliczka

LUBLIN, Krak.-Przedm. Gmach
Kasy Poż. Przem. lubelskich.

otrzymał nowe transporty towarów i poleca

Ogromny wybór

SERWISÓW stołów porcel. i ang. od 25 rb.
na 12 osób.

„ stołów. kryształ. kraj. i zagr. od
10 rb. na 12 osób.

SERWISÓW do herbaty porcel. od 6 rb.
na 12 osób.

GARNITURÓW na umywalnie kraj. i zagr.
WYROBY platerowane Fraga i niklowe,
wazony, żardiniery, zegary, biusty, figury,
oraz różną galanterię kryształową i porcelanową.

Nowości:

Wybór kandelabrow bronzowych, oraz garniturów do picia kryszt. bronz. marmur. i tp.

Skład luster, szyb i

przedsiębiorstwo oszkleń.



LUBELSKIE

Chrześcijańskie Towarzystwo

Pożyczkowo-

Oszczędnościowe

w Lublinie,

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE, RÓG
POCZĄTKOWSKIEJ, 1-sze PIĘTRO.



Biuro otwarte codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godziny 10 rano do 2-ej po południu.



WYDAWNICTWA Gebethnera i Wolffa

Adamowicz B. Tajemnica długiego i krótkiego życia rb. 1.— *Bartkiewicz Zygmunt.* Słabe serca. Wyd. 2-gie rb. 1.80. *Bohowityn.* Kobieta z przeszłością. Powieść, rb. 1.60. Z gruzów. Pow., wyd. 2-ie rb. 1.20. *Gąsiorowski Wacław.* Bem. Pow. historyczna z XIX w. rb. 2.20. *Gliniński K.* Słub Krwi. Pow., rb. 1.50. *Gomulicki W.* Grandmuskietier. Pow. historyczna z czasów Augusta Mocnego rb. 1.— *Jeleńska E.* Jubileusz rb. 1.20 *Łada Jan.* Proboszcz z Priesslau, rb. 1.20. *Nowaczyński A.* Cyganerya Warszawska. Sztuka w 4 aktach. Z okładką Jana Bukowskiego, rb. 1.60. *Ostrowski St.* Wielki Rok. Pow. na tle 1812 r., rb. 1.50. *Paszkowski Edward.* Rozbitki. Pow. z kroniki kresowej, rb. 1.50. *Przybyszewski St.* Zmierzch, rb. 1.80. *Reymont Wł. St.* Ave Partia, rb. 1.50. Komedjantka, rb. 1.50. Marzyciel. Szkic powieściowy, rb. 1.50. Senne dzieje. W pruskiej szkole, rb. 1.60. O Zmierzchu, rb. 1.50. Wampir. Pow. teozoficzna, rb. 1.80. Z Ziemi Chełmskiej, 50 kop. *Rodziejewiczówna M.* Atma Pow., rb. 1.30. Joan VIII. Pow. Wyd. 2-gie, rb. 1.50. *Siemkiewicz Henryk.* W pustyni i w puszczy. Z piękną okładką kolorową Piotra Stachewicza, rb. 2.50. *Słoiński Edward.* Partja. Romans rewolucyjny, rb. 1.50. *Srokowski Mieczysław.* Epigoni, rb. 1.20. *Tetmajer Kazimierz.* Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem. Anegdota, rb. 1.80. *Weyessenhoff Józef.* Hetmani. Pow. współczesna, rb. 2.— Soból i panna. Cykl myśliwski, rb. 2.20. Unia. Pow. litewska, rb. 2.— Znaj pana, rb. 1.50. *Wierzbicki Maciej.* Pod mysią wieżą. Pow. współczesna, rb. 1.80. *Zapolska G.* O czym się nie mówi. Pow., wyd. 2-gie, rb. 1.50. *Zeromski St.* Aryman mści się. Godzina, wyd. 2-gie, 90 kop. *Żuławski J.* Stara ziemia. Pow. rb. 2.— Zwycięzca. Pow. rb. 2.—

SZEKSPIR WILIAM: Dzieła w 12-tu tom. wydanie nowe, z portretem autora oraz kilkudziesięciu drzeworytami tytułów. Życiorys poety i objaśnienia do jego utworów opracował dr. ROMAN DYBOSKI, prof. lit. ang. na Uniw. Jagiel. Studium p. t. „Szekspir w Polsce” napisał dr. LUDWIK BERNACKI. Wyboru przekładów, z dawniejszych pióra Korzeniowskiego, Koźmiana, Ostrowskiego, Pajgerta, Paszkowskiego, Urlicha, ze współczesnych zaś Jana Kasprowicza i Edwarda Porębowicza dokonał ST. KRZEMIŃSKI. Cena pojedynczego tomu w prenumeracie na zwykłym papierze 75 kop., na lepsz. pap. rb. 1, opr. tomu 50 k. Cena 12-tu tom. w prenum.: na zwykłym pap. 9 rb., na lepsz. pap. 12 rb. na zw. pap. w opr. 12 rb., na lepsz. pap. 18 rb. Po wyjściu z druku cena będzie podwyższona. Dotąd wyszły z druku dwa pierwsze tomy i zaw.: *Tom I.* Życie, twórczość i sława Szekspira, przez R. Dybowskiego.—Burza, w przekładzie L. Urlicha.—Dwaj Panowie z Werony, w przekł. St. Koźmiana.—Figle Kobiet, w przekł. L. Urlicha. *Tom II:* Miarka za miarkę.—Komedja pomyłek.—Wiele hałasu o nic. Wszystkie przekł. Jana Kasprowicza.

Aksenazy Sz. Dwa stulecia XVIII i XIX. I. Wyd. II, rb. 2.60. Serja II. Badania i przyczynki, rb. 3.— Książę Józef Poniąkowski 1762—1813, wydanie wytworne z 22 rycinami i heliografurą według portretu Grassiego. Wyd. drugie, rb. 3.— W ozdobnej opr. rb. 4.— Nowe wczasy rb. 2.40. Uniwersytet warszawski 60 kop. Wczasy historyczne Ser. I rb. 2.— Wczasy historyczne Ser. II rb. 2.60. *Dubiecki M.* Obrazy i studia historyczne. Ser. I. II. po rb. 2.— *Papée Fr. dr.* Polska i Litwa na przełomie wieków średnich. T. I. Ostatnie dwunastolecie Kazimierza Jagiellończyka rb. 4.— *Pawłowski A. prof.* Michał Gröll. Obrazek na tle epoki Stanisławowskiej, z dodaniem spisu wydawnictw Gröll'a, ułożonego przez Z. Wolskiego 80 k.

FOERSTER FR. W. PROF. DR. WYCHOWANIE CZŁOWIEKA

Obszerne i wyczerpujące dzieło to najznakomitszego pedagoga współczesnego jest jakby encyklopedją wychowawczą, niezbędną w każdym domu, któremu drogie jest wyrobienie z młodego pokolenia dzielnych obywateli kraju, odpornych na niedolę życia własnego i życia narodu, niosących górną sztandar najwyższych ideałów. Przekład polski prof. Osterloffa. WYCHOWANIE CZŁOWIEKA obejmuje około 700 stronic tekstu większej ósemki i wyjdzie w 9 zeszytach po 5 arkuszy druku każdy. Cena zeszytu kop. 40, z przesyłką poczt. kop. 50. Dotąd wyszło pięć zeszytów. Tegoż autora: *Etyka pleiowa i pedagogika.* W przekładzie J. J. Rapackiego rb. 1.— *Szkola i Charakter.* Z przedm. Anieli Szycówny. Wyd. drugie rb. 1.— M. E. BOOLE. *Przygotowanie dziecka do wiedzy ścisłej.* Tłumaczenie z ang. Marji Sadzewiczowej rb. 1.— LE BON GUSTAW. *Psychologia wychowania.* W przekładzie Izy Moszczeńskiej.

Świat zwierząt

Tom I. Zwierzęta ssące.

Wydanie polskie pod redakcją prof. *Jana Sosnowskiego.* Barwne opisy życia i obyczajów zwierząt. Obejmuje 380 stronic tekstu na pięknym kredowym papierze. Zawiera 550 ilustracji w tekście, fotografii zdjęmowanych z natury, oraz 13 rycin wielobarwnych na osobnych tablicach. Cena za egzemplarz broszurowany rb. 8; w ozdobnej oprawie rb. 10. Tom II tejże objętości zawierający

Ptaki, ryby, płazy, gady, owady

wyjdzie w 12 zeszytach po kop. 60, z przesyłką kop. 70. Zeszyt I ukazał się w początku kwietnia r. b. dalsze—dwa razy na miesiąc.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Zakłady Mechaniczne ○○○○

■ ■ **E. Plage i T. Laśkiewicz** ■ ■

○○ **W LUBLINIE.** ○○

○○○ TELEFON № 58. ○○○

wykonywują:

KOTŁY PAROWE RÓŻNYCH SYSTEMÓW DO WYSOKIEGO CIŚNIENIA.

KOTŁY DO OGRZEWAN PAROWYCH I WODNYCH NISKIEGO CIŚNIENIA.

APARATY DLA CUKROWNI I RAFINERJI.

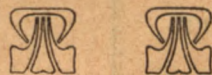
KOMPLETNE URZĄDZENIA GORZELNI, ZAKŁADÓW REKTYFIKACYJ-
NYCH. FABRYK SŁODU, KROCHMALNI, SYROPIARNI i t. p.

SUSZARNIE KARTOFLI.

MASZYNY DO WYROBU CEGŁY.

INSTALACJE DLA ZUŻYTKOWANIA WYWARU MELASOWEGO.

**Roboty szwejsowe, oraz wszelkie roboty, wchodzące
w zakres kotlarstwa żelaznego i miedzianego.**



Bielski & Janicki

Biuro Techniczno-Budowlane i
DOM HANDELOWY

LUBLIN, ul. KAPUCYŃSKA, Hotel Polski.
TELEFON № 460.

Wykonywa: BUDOWY MŁYNÓW, OLEJARNI, PAPIERNI, SZLU-
ZY ŻELAZNO-BETONOWE i t. p.

Zakłada TURBINY syst. FRANCISA do wszelkich spadów dla MŁY-
NÓW, OŚW. ELEKTRYCZNE i CEŁÓW GOSPODARCZYCH.

Urządza INSTALACJĘ WODOCIĄGÓW i KANALIZACJI, MOTORY
WYBUCHOWE, PĘDNIE (transmisje).

Artykuły techniczne dla CUKROWNI, GORZELNI i innych fabryk.
MASZYNY do PISANIA różnych syst. NOWE i UŻYWANE.

Urządzenia biurowe syst. amerykańskiego. Asekuracja życiowa
i ogniowa.

IAN TEODOROWICZ

Dom Rolniczy i Biuro Techniczne

W LUBLINIE,

HOTEL EUROPEJSKI, Telefon 161.

Maszyzny, narzędzia rolnicze i mleczarskie.

Nawozy pomocnicze.

NASIONA

Garnitury młocarniowe parowe. Lokomobile i motory naftowe,
ropowe, spirytusowe, fuzlowe, benzynowe i na gaz ssany. Po-
sadzki drzewne i majolikowe, terrakotowe. Piece kaflowe.
Materiały budowlane.

Na SKŁADZIE stale: sól mielona i w bryłach, cegła i
glinka ogn., worki do zboża i tp.

Magazyn

UBIORÓW MĘSKICH

Bolesława PIWARSKIEGO

w LUBLINIE,

==== KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 60. ====

Posiada na składzie duży wybór Angielskich
i Krajowych towarów.

Przyjmuje futra na przechowanie w specjalnie
urządzonym lokalu.

Karwowski & Zakrzewski

INŻYNIER.

LUBLIN,

WARSZAWA,

Namiestnikowska № 22.



Nowo-Stalowa 7 (Praga).

Telefon № 67.



Telefon № 76—46.

Adres dla depesz: „LUBLIN—INŻYNIER“.

Adres dla depesz: „PRAGA—INŻYNIER“.

Studnie betonowe =====

„ **artezyjskie** =====

Pompy do takowych =====

Betony =====

WARSZTATY MECHANICZNE.

BANK HANDLOWY W ŁODZI

Oddział w Lublinie

ZAŁATWIA:

Kupno i sprzedaż listów zastawnych, Akcji, Obligacji i wszelkiego rodzaju papierów procentowych.

Wypłatę wylosowanych papierów procentowych.

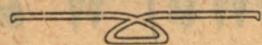
Asekurację premjówek.

Wymianę kuponów płatnych na wszelkie miejscowości (bezpłatnie na miasta, w których ma własne Oddziały).

Akredytywy na wszystkie miejscowości kąpielowe i kuracyjne.

Wymianę pieniędzy zagranicznych.

Wszelkiego rodzaju zlecenia pieniężne.



**Wynajem kasetek w specjalnym skarbcu
opancerzonym.**

J. PLESZCZYŃSKI i T. RZEWUSKI

DOM HANDLOWO-ROLNICZY
w Lublinie.

Adres dla depesz: Lublin—Pleszczyński ☉ Telefon № 106.

MAGAZYNY ULICA ZAMOJSKA.

Nasiona, nawozy sztuczne, maszyny i narzędzia rolnicze. Wirówki Alfa-Lawal. Motory ropowe i naftowe. Materiały budowlane.

DO

SKŁADU SUKNA

B. Meyersona

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 190/1

nadszedł znaczny transport modnych materiałów letnich dla dam, oraz na garnitury, paltoty, kostjумы męskie i damskie z fabryk krajowych i angielskich.

Wybór obfity.

CENY UMIARKOWANE. — CENY UMIARKOWANE.

BANK HANDLOWY W WARSZAWIE

Oddział w Lublinie.

Instytucja Centralna w Warszawie.

ODDZIAŁY:

W PETERSBURGU, ŁODZI, SOSNOWICACH, CZĘSTOCHOWIE, LUBLINIE i KALISZU.

AJENTURA W BĘDZINIE.

Składy towarowo zbożowe (tranzytowe) w Lublinie.

Adres telegraficzny: „BANK WARSZAWSKI”.

Lubelskie Towarzystwo **WZAJEMNEGO KREDYTU**

Założone w r. 1898.

DYSKONTUJE WEKSLE, PRZYJMUJE KAPITAŁY NA
OPROCENTOWANIE, ZAŁATWIA INKASO i WYDAJE
PRZEKAZY i AKREDYTYWY NA WSZYSTKIE MIEJSCO-
WOŚCI w KRAJU i ZAGRANICĄ.

DOM HANDLOWY **S. Bornstein i S. Bromberg** w LUBLINIE.

Susznarnia, kupno i sprzedaż chmielu
wszelkich gatunków.

☐ Żywica piwowarska i Masa filtracyjna. ☐

EGZYSTUJE OD 1880 ROKU.

Nowo-Otworzony **MAGAZYN**

A. KUKLIŃSKI LUBLIN, Krakowskie-Przedm.
№ 58. (za Kasą Przemysł.)

POLECA:

Worki do
zboża

Płótna krajowe i zagraniczne
Płótna FINLANDZKIE
Bieliznę stołową FINLANDZKĄ

Gwarancja ze długoletnią
trwałością

HAFTY

Madapolamy
Ręczniki
Chustki do nosa
białe i kolorowe

Płótna szare
Maglowniki
Ścierki
Bieliznę męską
dzienną i nocną

Krawaty
Pończochy, Skarp.
Kafetanki trykot.
Kalesony tryk.
Spinki zagran.

DIWANY

WIELKI WYBÓR: Firanek, Chustek wełnianych, Pledów podróżnych damsk i męzk.
Opony nieprzemakalne, Dery dla koni, Drelichy na materace.
Koldry wełniane jedw. watowe i wełniane.
Chodniki wszelkich rodzaj
Portjery (Kantonjery)
Dywaniki przed łóżka
Kapy na łóżka piko-
we, pluszowe i tiu-
lowe
Story tiulowe
„Bonne femme“
Barchany białe i ko-
lorowe

Voile francuskie na bluzki

CENY NISKIE, LECZ STAŁE

KOLNIERZE SPECYALNIE DLA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

FRYZJER „EDWARD”

Krak. - Przedmieście,
obok Dyrekcji Tow.
Kredyt. Ziemińskiego.
TELEFON № 356.

PERFUMERJA.

GALANTERJA.

SALON DAMSKI.

SPECIALITÉ de POSTICHES.

SALON MĘSKI.

Ceny stałe, ○ ○ ○ ○ Czystość wzorowa.

Oddział Handlowy przy Lubelskim Towarzystwie Rolniczym

Krakowskie-Przedmieście, (dom własny).

POLECA: Maszyny rolnicze, narzędzia, nasiona, nawozy sztuczne, pasze treściwe, węgiel, koks, sól, worki i t. d. NABYWA od ziemian i włościan zboża we wszelkich ilościach. Podejmuje się sprzedaży komisowej wszelkich produktów rolnych.

"KURJER"

PISMO CODZIENNE, POLITYCZNO-SPOŁECZNO-LITERACKIE

© © w LUBLINIE. © ©

Kurjer

jest prowadzony od lat 6-iu w duchu radykalnym. Jako organ wolny i niezależny podjął przedewszystkim zadanie służenia demokratyzacji społeczeństwa polskiego ze szczególniejszym uwzględnieniem interesów warstw pracujących.

Prenumerata „Kurjera” wynosi:

w Lublinie: Rocznie rb. 5 k. 20, półrocz. rb. 2 k. 60, kwart. rb. 1 k. 30.

Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 6, półrocz. rb. 3. kwart. rb. 1 k. 50, mies. 50 kop.

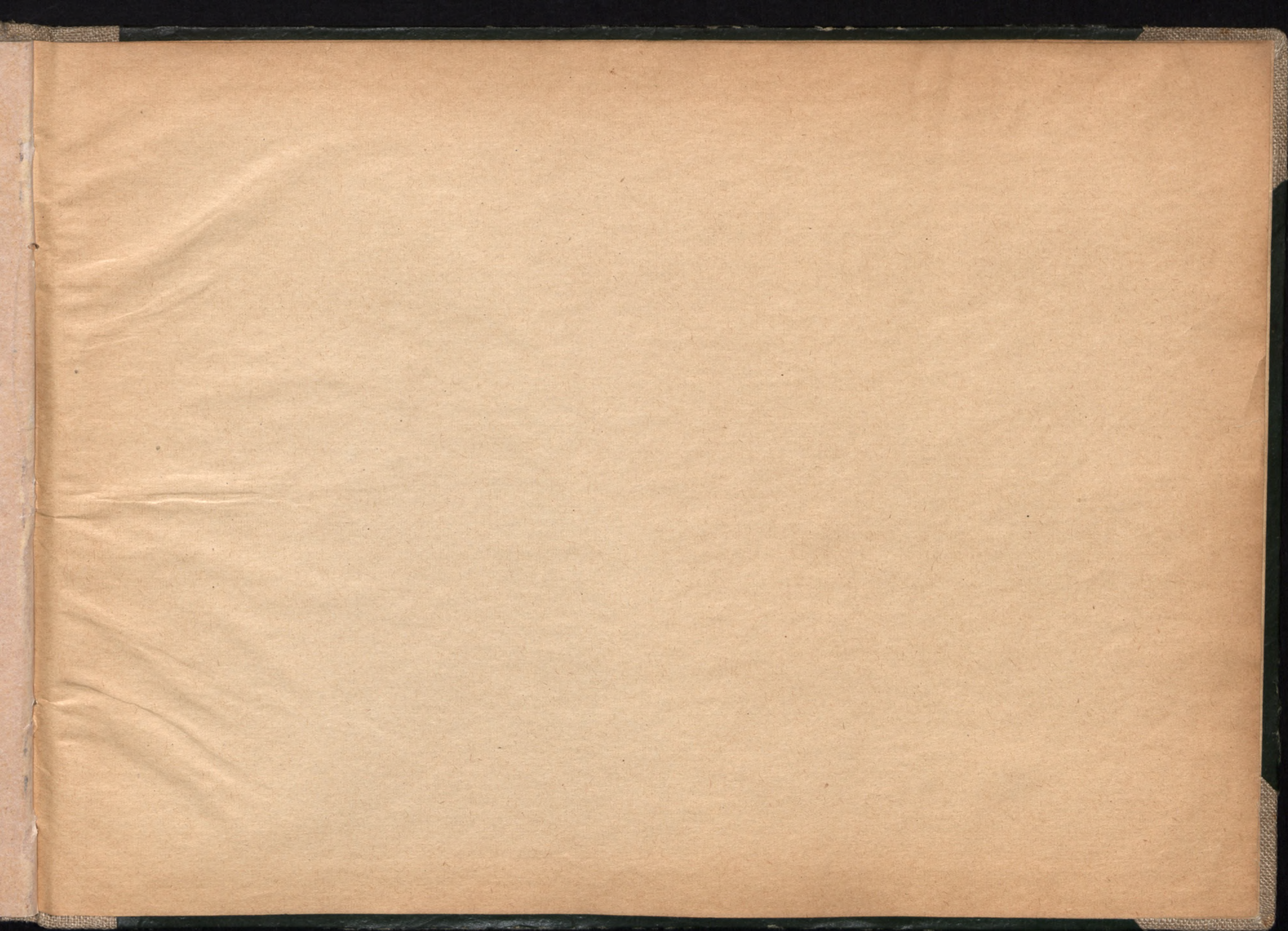
Zagranicą: wysyłany codziennie—kwartalnie 3, rb. wysyłany półtygodniowo—kwartalnie 2 rb.

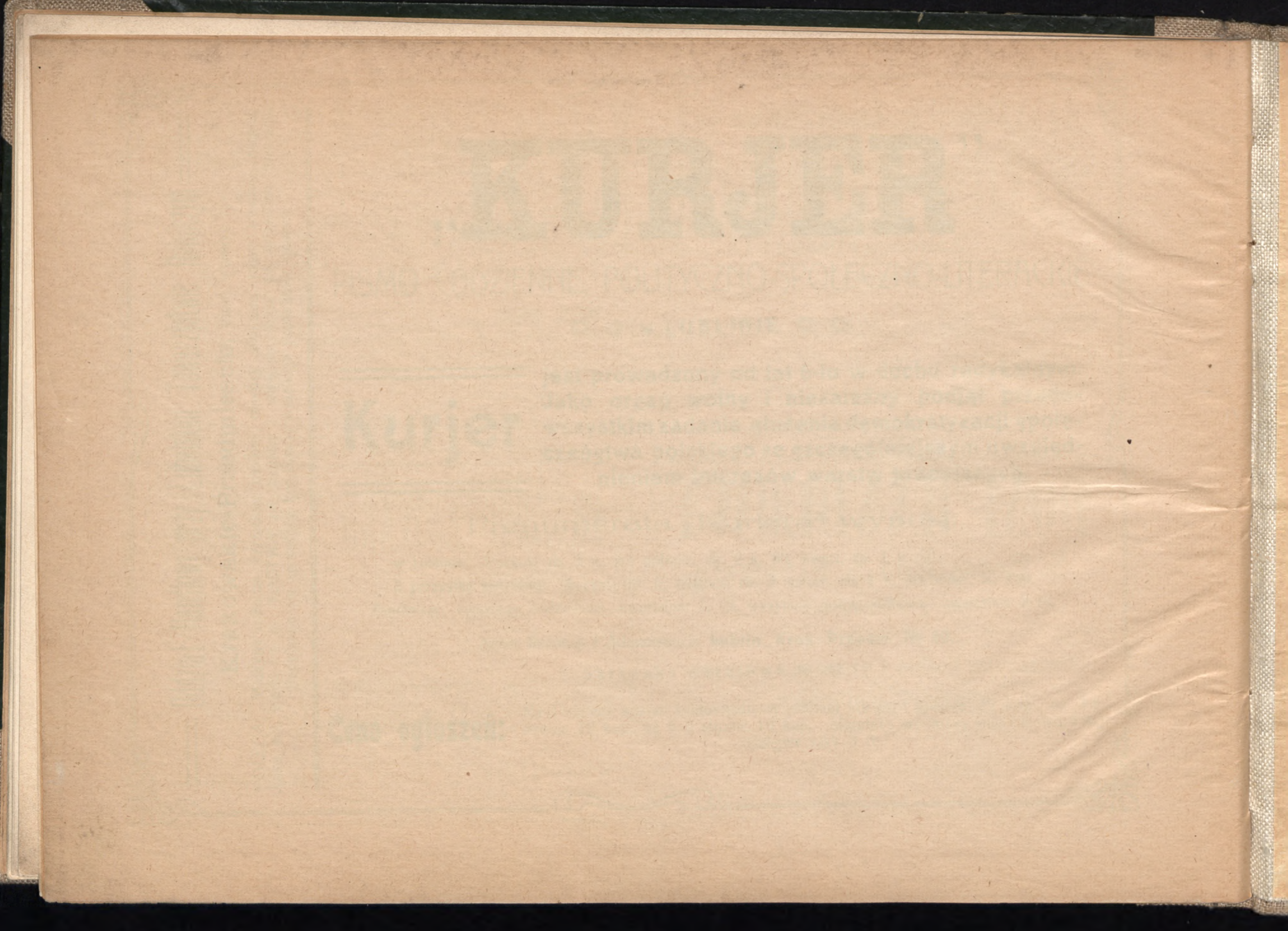
Adres Redakcji i Administracji: **Lublin, Krak.-Przedm. № 60.**

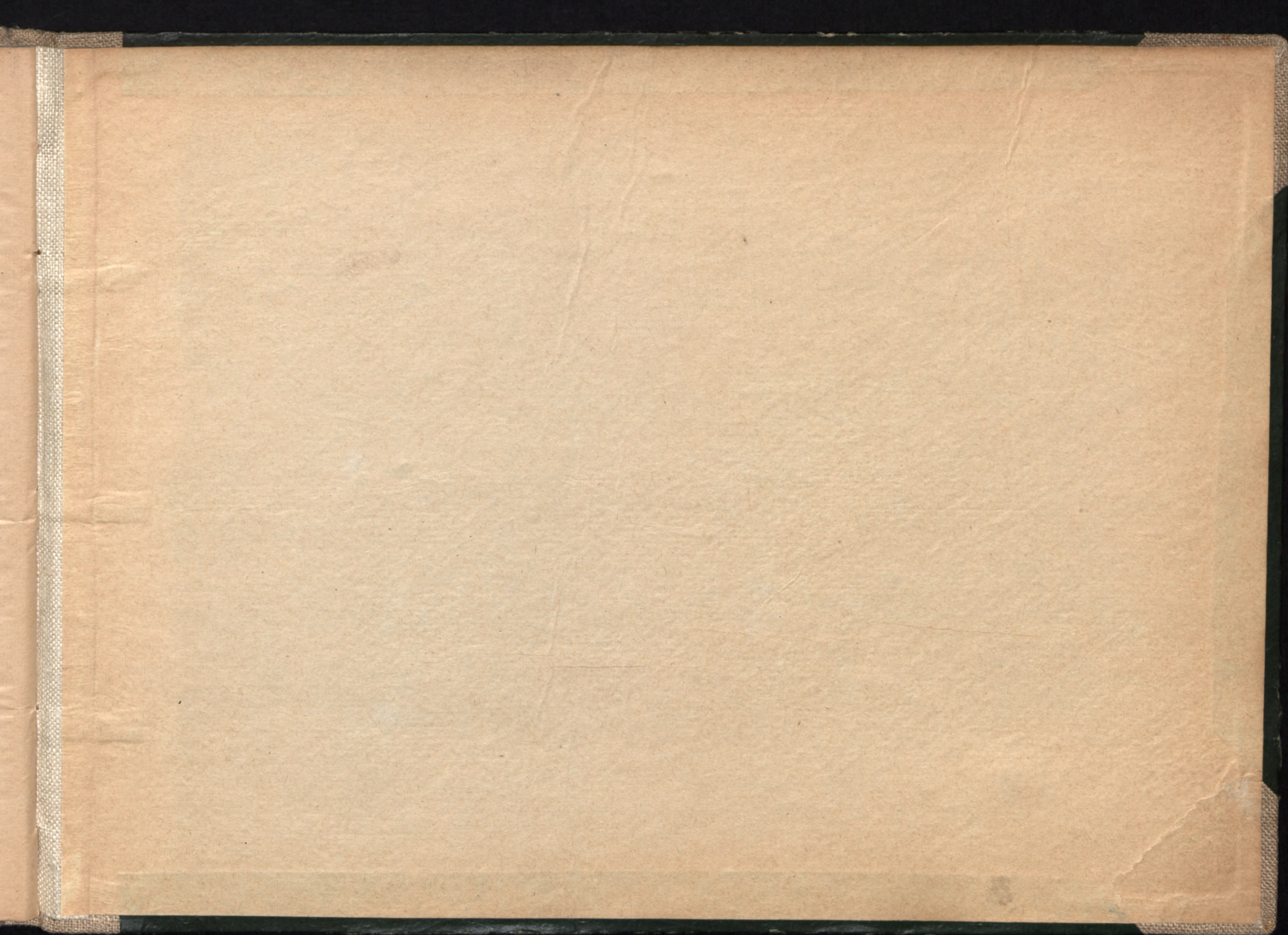
Skrzynka pocztowa № 62.

Cena ogłoszeń:

Na 1 stronie wiersz jednoszpaltowy petitem lub jego miejsce 25 kop., na 3-ej stronie 15 kop., na 4-ej stronie 10 kop. Margines środkowy jednorazowo 4 rb. j następnym razem 3 rb.







Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

1889 c